



Prenumerata wynosi: w Warszawie kwartalnie rs. 1 kop. 80. — Na stacjach pocztowych w Cesarstwie, Królestwie, za granicą i w Redakcji kwartalnie rs. 2 kop. 50. — Półrocznie rs. 5. — Rocznie rs. 10. Numer pojedynczy kop. 17. — w Krakowie prenumerować można w księgarni pana Friedleina. — w Poznaniu w księgarni pana Leitgebera, płacąc za półrocze 8 guldenów albo 5 talarów.

Treść Numeru. Prelekcje publiczne Henryka Lewestama. — Na Prowincji, powieść w dwóch częściach przez Elżę Orzeszkową. — Listy brukowca Warszawskiego. — Kronika teatralna. — Wiadomości miejscowe. — O ubiorach. — Doniesienie. —

PRELEKCJE PUBLICZNE

HENRYKA LEWESTAMA

Dra Filozofii, profesora Uniwersytetu.

Dalszy ciąg prelekcji 9-ej.

Z niezmierną tu sztuką poeta zaraz na wstępie postawił widza pod wrażeniem tych zgrzyot sumienia, tego nieokreślonego smętku królowej. Chociażbyśmy nawet nie chcieli się zgodzić z Kennedą, tłumaczącą Maryi, że na czyn jej nietrudno wynaleść ludzkie usprawiedliwienie, bo Darnley, jej łaską wydobyty z niecstwa, czarną jej się niewdzięcznością odpłacił, bo ubliżał jej obelgami i podejrzeniami, bo w jej oczach kazał zamordować jej ulubieńca, śpiewaka Rizzia, bo ona sama wówczas nie była swoją, lecz pod wpływem strasznego obłędu, który obłąkał jej rozum w namiętności dla niegodnego Bothwella, zaślubionego przez nią po niewinnieniu go w bezczelnej komedii sądowej, — chociażbyśmy na tłumaczenie takie przystać nie mogli, widok pięknej, od lat tylu więzionej niewiasty, widok królowej przejętej zalem głębokim i szczerym za grzechy, widok gościnności haniebnie zdradzonej, usposabia nas do współczucia dla bohaterki tragedji. Schiller nie chciał, byśmy co do przeszłości jej byli w błędzie, lecz podając takową na pastwę nieubłaganemu wyrokowi historii, teraźniejszość czyni zawiśłą od woli poety, — znawca serce chce wywołać sympatyę i wywołuje ją. Zaledwie zaś to uczynił, gdy ukazuje nam charakter królowej z innego punktu widzenia: — z pokutującej grzesznicy przeistacza ją znowu w prawowierną córkę kościoła i w łatwo zapalną kobietę. Bóg zśła jej nadzieję ratunku. Mortimer, dorodny synowiec Paulęta, którego dotąd za najzawziętszego miała wroga, wręcza jej pismo od wuja, księcia Gwizyusza z Francji, polecające młodzieńca, jako wiernego jej przyjaciela, — zarazem wraca i z Rzymu, z kąd przywozi jej wielkie poselstwo od świata katolickiego. W scenie tej, którą nazwaćby można apoteozą poetyczną katolicyzmu, rozpostarł Schiller wszystkie blaski poezji na wiarę i obrządki wyznania:

Dwadzieścia lat liczyłem, o królowo,
W surowych wzrosłem obowiązkach, w ciemnej
Papieżstwa wykarmiony nienawiści,

Gdy na ląd stały żądza niewściągniona
Mnie parla bez ustanku. Więc ponure
Rzuciłem Purytanów domy modłów,
Rzuciłem kraj rodzinny, szybkim biegiem
Przebywszy Francję, i gorącym dążąc
Pragnieniem do Italii niw sławionych.
Była to pora wielkich świąt kościelnych,
I pielgrzymami się czerniły drogi, —
Kaźda figura święta uwieczniona, —
Rzekłbyś, że ludzkość cała na wędrowce,
Pielgrzymując do królestwa niebieskiego.
I mnie samego prąd wierzących tłumów
W dzielnicę Rzymu porwał —

O królowo!

Co się tu zemną działo, czyż opowiem?
Gdy przepych luków tryumfalnych kolumn
Ze wszech stron mnie spotykał, — Kollizeju
Gdy mnie wspaniałość ogarnęła, — gdy mnie
Dostojny sztuki duch w swych cudach zawarł!
Nigdy potęgi piękna nie był zaznał;
Ten kościół, w którym wzrosłem, nienawidzi
Powaby zmysłów, wizerunkiem gardzi,
Czcząc jedno tylko słowo bezcielesne.
Jakże mi było, gdy do wnętrza potem
Świątyni wstąpił, a muzyka Niebios
Splynęła ku mnie, a obfitość kształtów
Trysnęła bujnie z ścian i górnych pował,
Gdy co Najwyższe jest i Najwspanialsze,
To, zachwyconym zmysłem mym obecne,
Ruszało się i żyło, — gdy m nareszcie
Ich samych ujrzał, boskie te postacie:
Anioła Pozdrowienia, Narodzenie
Naszego Pana, Matkę Przenajświętszą,
I zestąpioną do nas Świętą Trójcę,
Świetlane Wniebowzięcie — kiedy potem
Papieża ujrzał w swej wielkości chwale,
Jak celebując ludom błogosławił.

Marya.

Prześcieńcie! Oszczędzajcie mnie! Prześcieńcie
Jasny kobierzec życia tak przedemną
Tu rozpościerać! — — Jam jest uwieziona
I nieszczęśliwa —

Mortimer.

Ja, królowo, także
Nim byłem, lecz więzienie moje przysło,

I duch mój nagle uczul się swobodnym,
Witając piękny dzień nowego życia.
Więc stęchłej księdze wieczną zaprzysięgłem
Nienawiść, skroń mą zdobiąc świeżym wieńcem,
By być wesolym między wesółemi.
Wielu szlachetnych Szkotów, liczne niemniej
Radosne towarzystwo synów Francji,
Już do mnie się zbliżało; — i laskawie
Do twego wuja, pani, kardynała
Gwizyusza mnie zawiedli — Cóż za człowiek!
Jak pewny siebie, jakże mężko jasny!
Jak zrodzon na to, by duchami władać!
Istny pierwowzór królewskiego księdza,
Książe kościoła, jakich nie ma więcej!

Marya.

Widzieliście więc drogie to oblicze,
Ukochanego i wzniosłego męża,
Który był przewodnikiem mej młodości?
O! mówcie o nim! Czy pamięta o mnie?
Kocha-ż go jeszcze szczęście? życie kwitnie?
Jest-że on jeszcze dzielną kościolowi
Opoką?

Mortimer.

Sam dostojnik się poniżył,
By wzniosły dogmat wiary mi wyjaśnić,
Rozproszyć serca mego wątpliwości.
On mnie przekonał, że badawczy rozum
Ducha ludzkiego wiedzieć na manowce,
Że oczy nasze widzieć to powinny,
W co serce wierzyć ma, że dla kościoła
Potrzebną jest widzialna głowa, prawdy
Że duch spoczywał na naradach ojców.
Ach! jakże duszy mej dziecinnej złudne
Mamidla nikły przed zwyczajnym jego
Rozsądkiem i wymową jego złotą!
I powróciłem na kościoła łono,
I w jego ręce błędu się wyrzekłem.

Prócz kardynała Gwizyusza poznał się także Mortimer z biskupem Rosse, który, jak wielu innych katolików szkockich, pędził we Francji lata smutnego wygnania. „Dnia pewnego“ — mówi,

Gdym się w biskupa oglądał komnacie,

Niewieści wpadł mi w oczy wizerunek,
Cudowny rzewnym wdziękiem, i potężnie
Chwyciło coś mnie w duszy mojej głębiach,
I władzę nad uczuciem mem straciwszy,
Tak stałem nieruchomy, aż mi biskup:
„Słusznie ten obraz — rzeze — ciebie wzrusza;
„Bo z kobiet najpiękniejsza, które żyją,
„Najnieszczęśliwszą także jest ze wszystkich:
„Cierpi dla naszej wiary, a tam cierpi,
„Gdzie twój jest kraj ojczysty.“

Tknięty jęć losem, Mortimer postanowił poświęcić
się na jęć wyswobodzenie, a jeżeli już ją z portretu
pokochał, tém bardziej rozpałił gorącą w nim miłość
własny jęć widok:

Ujrzałem cię, królowo, ciebiem ujrzał!
Nie obraz tylko! Jakż skarb się chowa
W tym zamku! Nie więzienie to! Przybytek
To Bogów Nieśmiertelnych! Obok niego
Królewskich Anglii siedzib przepych gąśnie!
O! szczęśny ten, któremu dano, temże
Co ty powietrzem tu oddychać!

Słusznie
Ta czyni, co się tu głęboko kryje!
Bo cała Anglii młodzież by powstała,
I żaden miecz by w pochwie nie pozostał,
I krokiem gigantycznym bunt-by zmierzyl
Tę wyspę pokojową, gdyby Anglik
Królową swą obaczył!

Marya.

Gdyby na nią
Waszém się spojrzal okiem!

Dawna zalotność i tu Maryi nie zdradza; — nowy
wielbiciel zaprzął się do jęć rydwanu, a ona chętnie
hołdy jego przyjmuje. Zaledwie druga wiadomość,
jaką przynosi jęć Mortimer, zdoła osłabić to pierwsze
wrażenie zadowolenia: — jest-to bowiem wiadomo-
ść o już zapadłym wyroku, który ją na śmierć
skazuje. I ona, która przed chwilą w rozmowie ze
starą służebną tak już była przeznaczona poddana,
która los swój brała zrezygnowana jako wymiar kar-
zącej Sprawiedliwości niebieskiej, ona teraz drży na
myśl bliskiej śmierci, — albo raczej nie wierzy w nią:

Onażby śmiała mą koronowaną
Głowę haniebnie na pniu złożyć kata?
Majestat własny śmiałażby i wszystkich
Majestat królów tak potarzać w pyle?
Alboż się zemsty Francyi już nie lęka?

Mortimer.

Z Francją zawiera pokój już wieczysty,
I tronem z ręką księcia Anjou darzy.

Marya.

Czyliż się król Hiszpanii nie uzbroi?

Mortimer.

Świat cały w zbroi straszyć jęć nie będzie,
Dopóki pokój w swoim ma narodzie.

Marya.

Widokiem tym chciałażby pastwić Brytów?

Mortimer.

Kraj ten, o pani, więcej już królewskich
Widował niewiast zstępujących z tronu
Na rusztowanie prosto. Własna matka
Elżbiety szła tą drogą, Anna Boleyn,
I Katarzyna Howard, i Joanna
Gray, głowy były namaszczone.

Niebezpieczeństwo grozi, więc z wykonaniem planu
zwlekać nie można, ale Marya w ostatecznej jęć chwili
zwraca się Mortimerowi, że jeden tylko lord Lei-
cester, faworyt Maryi, zdoła otworzyć dla niej bra-
my więzienia. Mortimer wprawdzie od razu przeczu-
wa w tym lordzie Leicester rywala, — tłumii jednak
drażliwość i list dla niego wraz z wizerunkiem królo-
wój, od niej przyjmuje. Ten lord Leicester, jak wia-
domo z poprzedniego opowiadania, nie był bynaj-
mniej osobą zmyśloną, a królowa Elżbieta ofiarowała
nawet jego rękę zasiadającej jeszcze na tronie

Maryi Stuart, lecz wkrótce sama zerwała te układy,
które zapewne były jedynie pozornymi. Historia
maluje go człowiekiem wprawdzie bez wielkich zdol-
ności, ale z ogromną ambicją, czego dowiódł zwłasz-
cza, będąc mianowany wodzem naczelnym wojsk po-
siłkowych, wysłanych do Niderlandów przeciw Hisz-
panii. W pozycji tej Leicester okazywał nieogranic-
zoną samowolność, zmusił Niderlandczyków do u-
dzielenia mu godności swojego generalnego namiest-
nika, widocznie nawet dążył do władzy najwyższej,
w czem stanął mu na przeszkodzie jeden tylko Jan
Oldenbarneveld, ówczesny wielki pensyonarz hol-
lenderski. Ale jeżeli Leicester nie był zdolnym, ani
na polu bitwy, ani w drodze układów odnieść jaką-
kolwiek dla Stanów korzyść, tem biegłym był
on i tem zręczniejszym dworakiem, — jakoż i w tem
nie odstąpił poeta prawdy dziejowej, że zrazu Lei-
cester w samej rzeczy zdawał się bronić Maryi, wpra-
wdzie nie tak, jak przedstawi tragedya, by ją same-
mu zaślubić, ale popierając raczej jęć umowę mał-
żeństwa z hrabią Norfolk, który usiłowanie to głową
przeplacił: — widząc jednak niebezpieczeństwo intry-
gi, wydał Leicester Elżbiecie swoich współników
i stanął po stronie tych, którzy dążyli do zguby Ma-
ryi Stuart. Otóż poeta uchwycił z niezmierną zrę-
czością ten charakter dworaka, który przytłumia
najszlachetniejsze porywy sercowe: — u niego Lei-
cester kocha Maryę na prawdę, ale bardziej jeszcze od
niej kocha nadzieję, do jakiej ośmiela go sama nawet
Elżbieta, podzielenia z nią tronu i władzy. Chciałby
Maryę ocalić, a jeżeli ocali, jeżeli jęć się uda istotnie
ureczywistnić swoje prawa do Anglii, bez wątpienia
byłby także gotów zaślubić ją; tymczasem przecież
nie naraża się na utratę skłonności Elżbiety. I oto
wszystko, co w jednej chwili staje na oczach Morti-
merowi, gdy Marya daje mu zlecenie do Leicester:
ale Mortimer nie jest samolubnym dworakiem, —
przed wszystkiém inném idzie mu o ocalenie Maryi.
Później wprawdzie, kiedy poznaje, że przedsięwzięcie
to i jego o śmierć przypawi, rosnać będą wymaga-
nia kochanka, żądać będzie nagrody swoich poświę-
ceń, i okaże tém samym, że w oczach tak namiętne-
go nawet wielbiciela ona zajmuje miejsce nie wyższe,
niż w oczach najzawziętszej nieprzyjaciółki. W ogó-
le Mortimer jest jedną z najbardziej zajmujących pól-
staci całego dramatu i wart, żeby w przedstawieniu co
scenicznym rola jego dostawała się artyście wysokich
go talentu, bez czego dalsze zwłaszcza sceny jego
z Maryą i z Leicesterem zbyt wiele tracą na swoim
znaczeniu.

Jeżeli dotąd poznaliśmy w uwiezionj królowej po-
kutującą grzesnicę, pokorną córkę kościoła i kobie-
tę zalotną, scena z lordem Burleighem, pierwszym
ministrem i wielkim podskarbnim Elżbiety, ukazuje
nam w niej dumną niegdyś władczynię. Świetny-to
rodzaj expozycji dramatu, którego w *Maryi Stuart*
użył poeta, uwidatniając pierwszym aktem jedną po-
drugiej wszystkie strony jęć charakteru, wszystkie jęć
zalety, słabości i urok, jaki w około siebie umiała
roztaczać. Ten Burleigh, główny wróg Maryi mię-
dzy doradcami Elżbiety, trafiający swą nienawiścią
najlepiej w ukryte życzenia swj monarchini, to nie
podły intrygant, ale szerokiego poglądu mąż stanu,
który uznawszy raz zgubę Maryi za konieczną do
szczęścia swojej ojczyzny, by dopiąć tego celu nie
cofa się przed żadnemi środkami. I oto przychodzi,
do niej z wyrokiem śmierci, ferowanym przez sę-
dziów, których, że nie jęć są parami, uznawać nie
może i nie chce, — którym obok tego, jako Anglikom
i protestantom, w sprawie przeciw katolicyzmu i szkoc-
kiej królowej zarzuca namiętną stronniczość. Wspia-
niały ten dyalog, w którym Burleigh wyczerpuje
wszystkie motywa kazuistycznej polityki, by dowieść
Maryi, że wyrządzona jęć krzywda jest sprawiedliwo-
ścią, kończy się jednak na moralném zwycięztwie
uwiezionj. „Dowiedziona jest rzeczą — mówi lord
Burleigh —

Żeś ty mylady, liczne miała plany,
By kraja tego podkopać religię!
By wszystkich Europy królów w zgubną
Przeciwko Anglii wojnę gwałtem popchnąć.

— A gdybym to uczyniła — odpowie z prawdzi-
wie królewską godnością Marya —

Gdyby prawda?
Nie uczyniłam tego — Ale gdyby
Tak w samej rzeczy? — Co, milordzie, tutaj

Wbrew prawom narodów wszelkim mnie więz; —
Jako prosząca wesła'n tu, wzywając
Świętego gościnności prawa, wesla'm,
W objęcia się rzucając monarchini,
Bliskiej mi krewnej, — mnie zaś gwałt porywa,
Zamiast opieki niosąc mi kajdany.
Więc mów, milordzie, jestem-że związana
Sumieniem mojem dla takiego kraju?
Mam-że dla Anglii jakie obowiązki?
Święte obrony tylko spełniam prawo,
Gdy z więzów się tych wyrwać usiłuję,
Gdy siłę siłą chcę odeprzeć, kiedy
Wszystkie tej części świata państwa za mną
Uzbroić pragnę i do boju wzburzyć.
Co tylko słuszném jest i co rycerskiem
W uczeiwj wojnie, wszystko mnie to wolno, —
Morderstwa chyba tylko, skrytobójstwa
Dama mnie moja wzbrania i sumienie.
Mord by mnie splamili i zbezczescił samą, —
Zbezczescił, mówię, bo i onby nawet
Nie poddał mnie pod wyrok, nie potępił.
Pomiędzy mną a Anglią nie o prawie
Być może mowa, a o sile tylko.

Burleigh.

Nie powołujcie się na sily prawo,
Myłady, — więziom mało ono sprzyja.

Marya.

Jam słaba, ona silna. Wiem ja o tém, —
Więc sily niech używa, niech morduje,
Niech bezpieczeństwa padnę jęć ofiarą.
Lecz wówczas niechaj wyzna, że spełniła
Akt sily tylko, nie sprawiedliwości!
Od prawa niechaj miecza nie pożyczca,
By się zawistnej pozbyć nim rywalki,
I niechaj w święte szaty nie przybiera
Krwawych przedsięwzięć surowego gwałtu!
Wszak świata nie oszuka tem kuglarstwem!
Zabijać mogą, sądzić nie są godni!
Więc niech przestanie raz, z owocem zbrodni
Falszywy łączyć pozór w świętej enocie,
Niech śmie ukazać się, czem jest w istocie!

Burleigha zostawia Marya widocznie pobitym, mo-
że i przekonanym. On sam lęka się rozgłosu wyko-
nania wyroku i wolałby, żeby ręka usłużna ulżyła
Elżbiecie i jemu kłopotu. Trwożliwa jednak i skry-
ta jego insynuacja odbija się, jak od stalowego pan-
cerza, od zacnej piersi dowódcy zamku, Pauleta.
Naturalny bieg wypadków nie będzie w niczem prze-
rwany, a poeta w dalszych kolejach dramatu rozwi-
nie te świetna nasiona, które tak szczerze w pierw-
szym akcie rozrzucił.

Koniec prelekeyi 9-jej.

NA PROWINCJI

POWIEŚĆ W DWÓCH CZĘŚCIACH

PRZEZ

Elizę Orzeszkową.

(Dalszy ciąg).

Trzyletnia dziecina biegła naprzeciw matki cze-
piając się jedną ręką sukni piastunki, w drugiej
trzymając pęk konwalji. Wincunia usiadła przed
nią na murawie i ustami drżącemi jeszcze od przed-
chwilowego wrażenia, pocałowała złociste włosy córki.
— Z kąd masz te kwiatki? spytała ją z pieśczo-
tą.
— Jakiś pan dał mi je w gaju, odpowiedziało
dziecię.

Na twarz Wincuni silny wytrysnął rumieniec.
— Kto jęć dał te kwiaty? spytała piastunkę.
— Pan Topolski, była odpowiedź, spotykamy go
często w gaju i za każdym razem bawi się z Andzią
i zrywa dla niej kwiaty.

— Mamo! zaszczebiotało dziecko, ten pan tak mię
zawsze całuje i patrzy na mnie — patrzy i mówi że
jestem bardzo do mamy podobna. Wincunia żywo
powstała i odeszła.

Poszła do swego pokoju, otworzyła szufladkę biur-

ka i wyjęła złoty pierścionek ozdobiony niewielkim brylantem, był to dar Bolesława ofiarowany jej w dniu jej z nim zaręczyn, który zdjęła z palca zostając żoną innego. Pierwszy to raz od owego czasu spojrzęła na tę pamiątkę wczesnych lat młodości swojej. I dziwna rzecz! wydało się jej że od dnia w którym zdejmowała z ręki pierścionek Bolesława, upłynęło lat wiele, wiele, że wtedy była jakąś inną i wszystko w koło niej było inaczej, na sercu zawisł ciężar niezmierny, łzy wzrok zamglily, powoli w zamysleniu włożyła na palec pierścionek. Może w tej chwili duchem zaręczała się po raz drugi z człowiekiem, między którym a sobą, położyła sama zaporę nieprzebytą?

Aleksander po rozmowie z żoną wyjechał z domu. Wincunia o zachodzie słońca stała wśród gaju sama jedna, ramionami otoczyła smukłą brzozę, a przyciskając pierś podnoszoną westchnieniami do białej kory drzewa, twarz bladą i cicho rozplakaną z wyrazem niewysłowionej tęsknoty, zwracała w stronę w której pełen odgłosów spokojnej pracy stał Topoliński dworek.

VI.

WIERNE SERCE.

I znowu była zima. Na drodze między Topolinem a miasteczkiem X. ciągnięte parą niewielkich, ale dziarskich koni szybko sunęły się sanie z dzwonkiem, a na nich siedział mężczyzna otulony futrem. Od pola w czystym mroźnym powietrzu ozwał się głos drugiego dzwonka, i drugie sanie wyjeżdżając z bocznej drogi zrównały się z pierwszymi. I na drugich saniach jechał także mężczyzna w lisiurze.

Obaj jadący spojrzeli na siebie i kordjalnym ruchem zdjęli z głów barankowe czapki.

— A zkąd to konsyljarzu? zawołał podróżny z pierwszych san.

— Z Niemenki! odrzyknął doktor głośno, bo dzwonki głos tłumili.

Pytający żywo się poruszył:

— Z Niemenki! zawołał, czy tam kto chory?

— Dziecko Snopińskich zasłabło, była odpowiedź.

— Czy bardzo?

— Teraz ma silną gorączkę i prawdopodobnie wywiąże się z niej szkarlatyna. A że dziecko słabe i delikatne może być z niem śle...

Sanie jechały tuż obok siebie, ale na ostatnie słowa doktor nie otrzymał odpowiedzi, bo spotkany jego towarzysz pochylił głowę na pierś z zachmurzonym nagle czołem.

— A pan dokąd jedziesz, panie Topolski? spytał po kilku sekundach doktor.

— Do X. odparł Bolesław, budząc się z zamyślenia, mam pewną sprawę do załatwienia u jednego z urzędników, ale powiedz mi doktorze co się dzieje z panią Snopińską?

— Desperuje! krótko odparł doktor.

— Biedna! szepnął Bolesław i jechał dalej w milczeniu.

Przy wjeździe do miasteczka zwrócił się raz jeszcze do doktora.

— Jak myślisz, rzekł, czy będzie żyła?

— Kto? córka Snopińskich? odparł doktor z zamyśleniem, rzecz to dosyć wątpliwa, ale zrobimy wszystko co będzie możebnem aby ją uratować. Ojciec sam pojechał do X. po lekarstwa, kiedym był jeszcze w Niemence.

Rozstali się. Bolesław kazał wieść siebie przed dom urzędnika z którym miał do pomówienia a wszedłszy znalazł go ubranego jak do podróży.

— Widzę że pan wyjeżdżasz i nie przeszkadzam, rzekł zabierając się do wyjścia, po krótkiej rozmowie o interesie.

— A muszę jechać choć djabelnie mi się nie chce, w taki mróz puszczać się w drogę, ale cóż począć z tymi młokosami, którzy hulają i hultają całe życie, długi robią i podatków nawet nie płacą! Trzeba tylko jeździć i majątki im opisywać.

— Kogóż dziś miły ten los ma spotkać? spytał Bolesław.

— A tego błazna Snopińskiego. Piąty to rok dopiero jak wziął w zarząd swój Niemenkę, a tak się już zadłużył, że zmuszony jestem opisywać ją dla wystawienia potem na publiczną sprzedaż.

— Więc do Niemenki pan jedziesz, zawołał Bolesław z żalem w głosie. Ależ im teraz dziecko śmiertelnie zasłabło, zmiłuj się pan odtóż swą dotkliwą czynność do innej porę!

— Nie mogę! uczyniłbym to chętnie na prośbę pana, ale słowo daję że nie mogę! upewniał urzędnik sam żałując tej biednej pani Snopińskiej, ale cóż robić? obowiązek przedewszystkiem. Snopiński nie opłacił dwóch rat należności rządowej, a oprócz tego arendarz Szloma podał urzędową prośbę o egzekwowanie należnej mu summy.

Bolesław zamyslił się.

— Słuchaj pan, rzekł po chwili, nie godzi się ludzi tak ciężko stroskanych bardziej jeszcze udreć. Ja panu należność rządową za Snopińskiego zapłacę, a on mi potem odda te pieniądze.

Urzędnik zaśmiał się.

— Zobaczysz się pan ze swemi pieniędzmi chyba na tantym świecie, bo pod względem rzetelności pan Snopiński posiada opinię wcale nie dwuznaczną, ale bardzo smutnie uwyraźnioną. Wszakże, jeśli pan sobie tego życzy, mogę przyjąć wypłatę, byle skarb odzyskał co mu należy. Wszystko mi jedno z czyich rąk spłyną doń pieniądze. Ofiara jednak pańska na niewiele się przyda, bo Niemenkę muszę zawsze opisać za dług Szlomy.

Na czole Bolesława zawisła chmura.

— A jeżeli Szloma dziś cofnie swoją prośbę o egzekucję summy? spytał po chwili namysłu.

— W takim razie pojedą do Niemenki tylko z wizytą kondolencji albo i wcale nie pojedą.

— Zostaje mi więc tylko prosić pana abyś wstrzymał się z wyjazdem jedną godzinę, rzekł Bolesław dobywając pieniądze z pugilaresu.

— Bardzo chętnie uczynię to dla pana, odpowiedział urzędnik a przerachowawszy assygnaty i wręczywszy Topolskiemu kwit wypłaconej za Niemenkę rządowej należności, dodał z uśmiechem:

— Jak widzę, panu jeszcze nie wyszła z głowy stara historia, kiedy tak bardzo troszczysz się o spokojność pani Snopińskiej.

Bolesław spojrzął na niego z chłodem, który nie dopuszczał dalszych uwag.

— Przez cztery lata dwa razy tylko widziałem panią Snopińską, rzekł powoli i spokojnie.

Urzędnik skłonił się w milezeniu.

Po kilku chwilach Topolski wchodził do oberży Szlomy i w pierwszej izbie znalazł gospodarza siedzącego nad wielką księgą i mrużącymi pół głosem przedświątną modlitwę.

Na widok Bolesława, Szloma porwał się z miejsca z wielkim zadowoleniem.

— Nu gość, zawołał, rzadki gość! już kilka miesięcy jak pan do nas nie zajrzał.

— Czasu nie miałem, odpowiedział Topolski, a i dziś przyszedłem do p. Szlomy dla pomówienia o pewnym interesie.

— O jakim interesie? spytał żyd nadstawiając ucha, ja gotów służyć panu do każdego interesu.

Bolesław położył rękę na ramieniu Izraelity.

— Słuchaj panie Szloma, rzekł, powiedz mi prawdę: ile ci Snopiński winien?

— A co to trudnego powiedzieć prawdę?

I wymienił dość znaczną sumę. Bolesław spochmurniał.

— Czy ci te pieniądze natychmiast są potrzebne?

— Natychmiast nie natychmiast, chwala Bogu człowiek ostatkiem grosza nie goni i gdyby one były w innem ręku, mógłbym jeszcze trochę poczekać. Ale Snopiński coraz więcej długów robi, a co z tego będzie? Jak będzie miał więcej długów niż majątku, to moje pieniądze będą niepewne!

— Panie Szloma, rzekł Topolski, cofnij swoją urzędową prośbę, choć na jakiś czas przynajmniej, u nich dziecko zachorowało, oni i tak bardzo pomartwieni.

Jakby w odpowiedź na te słowa Bolesława z facjaty dał się słyszeć wybuch kilku głosów żywo rozmawiających w połączeniu ze stukiem kul billardowych. Szloma uśmiechnął się i pogładził brodę:

— Kiedy pan mówi o ich zmartwieniu, rzekł nieco ironicznie, niech pan mówi ona zmartwiona nie oni... bo on tam... I wskazał ręką na wschody wiodące do sali.

Oczy Bolesława błysnęły gniewem, utkwily w drzwiach od sali i stały się groźne. W piersi ozwał się stłumiony jęk oburzenia, przez chwilę stał ze spuszczoną głową, oddychając ciężko. Ale wkrótce powiódł ręką po czole i zwrócił do Szlomy twarz znowu spokojną, z głębokim tylko smutkiem w spojrzeniu.

— Panie Szloma, rzekł, gdybym posiadał potrzebną sumę wypłaciłbym ci natychmiast dług Snopińskiego, ale w tej chwili nie mam jej i mieć nie mogę aż po kilku tygodniach. Czy przyjmiesz moje

zaręczenie, że jeśli Snopiński nie odda ci długu za kilka tygodni, to ja ci go oddam?

Szloma myślał przez chwilę.

— Ja pańskie zaręczenie z ochotą przyjmę, rzekł, pańskie słowo więcej warte niż innych dokumenty, ale... jeżeli pan zapłacisz mi za Snopińskiego, to i nie zobaczysz się już nigdy ze swemi pieniędzmi...

Bolesław dziwnie się uśmiechnął.

— Wiesz dobrze, panie Szloma, odpowiedział że jestem sam jeden, nie mam familji i mieć jej nie będę, bo się nigdy nie ożenię, a majątek mój nie umniejsza się tylko się wciąż przysparza. Dzierżawa którą przed dwoma laty wziętem od Hrabiny przynosi mi znaczne korzyści, przytem jak wiesz i w Topolinie wszystko mi idzie jak z płatka. Jeślibym więc i stracił pieniądze, które ci wypłacę za Snopińskiego, nie przyprawi mi to o ruinę. Zgadzasz się więc abym ci dał za niego formalne urzędowe poręczenie?

— A na co formalne poręczenie? rzekł żyd, ja pańskiemu słowu wierzę, kiedy pan dasz mi słowo honoru, że odbiorę moje pieniądze, to ja dziś prośbę cofnę.

— Daję ci słowo honoru! odparł Bolesław podając rękę Szlomie.

— Nu to i nie ma o czem gadać! Kiedy pan dajesz słowo honoru, to ja idę do urzędnika i cofam moją prośbę, bo u pana honor nie na języku siedzi jak u innych, ale w sumieniu to jeszcze można wierzyć... Mówiąc to żyd brał za czapkę i zmierzał ku drzwiom, a Bolesław gotował się też do wyjścia, gdy do izby wszedł z dworską przybranym chłopak. Bolesław poznał w nim służącego z Niemenki.

— Co ty tu robisz, Michasiu? spytał go gdy chłopak uprzejmie się z nim witał.

— Pani przysłała mię po lekarstwa dla chorego dziecka. Jeszcze z samego rana pan po nie pojechał i dotąd nie wraca, a dziecku coraz gorzej.

Smutno ironiczny uśmiech przebiegł przy tych słowach poczciwą i roztrofną twarz Michasia. Takż sam uśmiech pojawił się na twarzy Szlomy, który z czapką w ręku stał już przy drzwiach.

— Pan zajmujesz się jego interesami, rzekł do Bolesława, a on bawi się na sali... Widziałem jak dwie godziny już temu przyniesiono z apteki, gotowe lekarstwo, — miał zaraz jechać, — konie stoją założone, ale tam pan Franuś Siankowski gra z nim w bilard... Aj! dla nas czem więcej panów na sali tem większa korzyść, ale sumienie przedewszystkiem i pod Cherymem przysięgam, iż wolałbym żeby on tam nie siedział... bo to brzydko z jego strony... bardzo brzydko... Gdy żyd tak mówił, Bolesław był bardzo blady, oczy jego ciskały iskrami gniewu i żalu. Milczącym gestem ukazał służącemu drzwi od sali i śpiesznym krokiem, milcząc wybiegł z oberży.

Od tego dnia powstała między Topolinem a Niemenką komunikacja ciągła a tajemna, tak tajemna że niewiedziela o niej nawet ta, która była jej przedmiotem i powodem, Wincunia. Nie wiedziela o niej ale ją czuła, niewidzialna jakaś opieka rozciągnęła się nad nią i nad jej chorem dzieckiem. Pomimo nieładu w jakim pogrążona była Niemenka przez bezład Aleksandra, mimo niedostatku, który wzmagał się coraz z powodu straty jego i zaciągniętych długów, niby różczką magiczną, wszystko spełniało się szybko, zjawiało się w samą chwilę potrzeby, nie się nigdy nie spóźniło, niczego nie zabrakło. Gdyby Wincunia mniej była pogrążona w boleści i obawie o życie namiętne ukochanej córki, spostrzegłaby niezawodnie tę niewidzialnie czuwającą nad nią Opatrzność, ale ona wtedy o nic nie pytała i nie myślała o niczem, a cała dusza jej skupiła się nad złotowłosą główką dziecicę, nad którą groźba śmierci zawisła. Dnie i noce, we łzach i modlitwie zdjęta gorączką śmiertelnej trwogi, przepędzała około tego dziecinnego kózeczka, nad którym tyle wprzódy macierzyńskich przeroiła marzeń, tyle czerpała pociechy i siły dla swego zranionego, zawiedzionego serca. Tajemniczą tę i czujną pomoc spostrzegłby i Aleksander, gdyby troskliwszym był mężem, ojcem i panem domu. Ale w mętnym duchu jego, nawet niebezpieczeństwo grożące jednemu dziecku, nie ustaliło żadnego wyraźnego uczucia. Były chwile w których rozpaczkał, błagał doktora o ratunek, łamał ręce z boleści i szlochał jak kobieta, były inne w których rozpacz żony wydawała się mu egzaltacją chorobliwej wyobraźni i kaprysem. Wtedy sarkał na jej łzy, zżymał się niecierpliwie i wyjeżdżał z domu mówiąc sobie, że nie może znieść widoku ciągłego smutku i słuchał jęków które dom napelniały, że go to de-

nerwuje, męczy i samego o chorobę przyprawia. Wyjeżdżał i powracał, wróciwszy rozpaczal znowu i znowu się niecierpliwiał, narzekał na ciężkie frasunki jakie ponosić musi ojciec rodziny i znowu wyjeżdżał z domu, mówiąc do swego ulubieńca:

— Pawełku: „jakis ty mądry żeś się dotąd nie ożenił“. A gdy chmurny i blade wchodził na salę, towarzysze ze śmiechem śpiewali mu piosenkę o ożenionym wilku. Aleksander zrywał się i grał w billard z ostatkiem grosza, gdy go miał a gdy go nie miał wypijał kieliszek po kieliszku, na rachunek przyjaciół. Niekiedy przesiadywał w kącie sali całymi godzinami, milcząc z głową opartą na dłoni: potem wychodził z wolna na miasteczko i widywano go po całych dniach chodzącego z ulicy w ulicę. Niekiedy miał minę człowieka który tuż, tuż w łeb sobie palnie.

Tymczasem między Topolinem a miasteczkiem stały na usługi Niemenki rozstawione konie Bolesława. Z doktorem Bolesław widywał się codziennie a najpoufniejsza służąca Wincuni, dwa razy dziennie spotykała się w gaju ze starym Krzysztofem, którego była wnuczką i rozmawiała z nim po cichu, a gdy odchodziła służa i powiernik Bolesława mówił jej za każdym razem. „Pamiętaj że o tem wszystkim nikt wiedzieć nie powinien, a twoja pani mniej niż ktokolwiek.“

Tak minęło dwa tygodnie, gdy pewnego wieczoru do pokoju w którym siedział Bolesław, wszedł Krzysztof, stanął przed swoim panem i rzekł głosem głęboko zasmuconym:

— Panie! dziecko pani Snopińskiej umarło.

Bolesław porwał się z miejsca.

— Umarło! wielki Boże! zawołał.

Stał się tak bladym jakby słowa służi ugodziły go w samo serce. Pochwylił ramię Krzysztofa.

— Kto ci to mówił? cóż się z nią dzieje? czy maż jej w domu? szybko zadawał pytania.

— W tej chwili była tu Katarzyna, przybiegła co temu prosząc o radę. Dziecko umarło dwie godziny temu, pani Snopińska strasznie desperuje, a cały dwór nie wie co począć, bo p. Snopiński zrana jeszcze wyjechał i dotąd nie wrócił.

Bolesław ręką czoło przycisnął.

— Co czynić? mówił do siebie; w takim nieszczęściu... w takiej rozpacz... sama jedna... jego nawet tam niema! ha! więc ja przy niej być powinienem!

Zwrócił się do Krzysztofa.

— Jedź co prędzej po doktora; niepotrzebny on już dziecku, ale może być potrzebnym matce.

Przywoż go do Niemenki jak możesz najprędzej, mnie tam znajdziesz!

To mówiąc pochwylił czapkę i niezważając na mróz panujący na dworze, wybiegł pieszo z domu.

W Niemenkowskim dworku panował ruch niezwykły ale cichy, złożony z szelestu tłumionych głosów, smutny, tajemniczy ruch nieszczęścia. Po dziedzińcu przy świetle księżyca przesuwały się postacie służ schodzące się, rozchodzące, ciche szepty wtórzyły skrzypowi śniegu pod stopami; w oknach domu przełykały światelka, gasły i zapalały się znowu, tu i owdzie odywały się westchnienia.

Bolesław przebył dziedzińiec niepostrzeżenie i wszedł do domu.

Drzwi pootwierane były wszędzie na oścież, tak że z przedpokoju można już było widzieć co się działo w słabo oświetlonej sypialni Wincuni.

Pod ścianą na której wisiał ciemny krucyfiks i obraz Najsw. Panny w złoconych ramach, stało małe łóżeczko a u węgłowia umieszczona płonąca gromnica, blade rzucała światło na leżącą wśród śnieżnej pościeli umarłą dziecinę. Rączki złożone miała na piersi jak do modlitwy, gęste kędziory złociste opływały bledziuchną twarzyczkę, z której śmierć spędziła wyraz boleści i która uśmiechała się łagodnie niby wzywając ostatniego pocałunku matki. Ale ta nie schylała się z pieszczotą nad trupem dzieciny. Wyprostowana i jakby zeszytywniała w strasznym bólu, Wincunia stała nad łóżeczkiem bez ruchu martwa. Oczy jej pełne rozpacz graniczącej znieprzytomnem przerażeniem, wpiły się w martwą twarzyczkę umarłej, usta zsiniały i zwarły się, na policzki wystąpiły krwawe rumieńce gorączki, a czoło blade było śmiertelnie. Ubrana była w długą białą bluzę, ramiona jej wysuwając się z szerokich rękawów, podniosły się ku skroniom, i drżącymi palcami bezwiednie targały światło warkocze.

Naprzeciw tej grupy złożonej z niezwyłego dziecka i zeszytywniałej w bólu matki i oświetlonej chwiejnym płomykiem gromnicy, pod drugą ścianą stały

w cieniu trzy kobiety służebne, przytulone do siebie i od czasu do czasu wydające stłumiony jęk lub łkanie. W przyległym pokoju zupełnie ciemnym, ślizgały się po posadzce posępne blaski księżyca wnikające przez okno.

Nagle wśród ciszy dały się słyszeć męskie stapania i na progu pokoju śmierci stanął Bolesław. Pierwszy raz od lat kilku, od dnia w którym się rozstał z Wincunią, wchodził on do tego domu w którym niegdyś widział ją tak promienną, szczęśliwą.

Jedna ze służących zbliżyła się ku niemu.

— Panie, szepnęła bardzo cicho, radz pan tu cokolwiek i ratuj panią. Już od dwóch godzin stoi ona taka martwa i nieporuszona, nic nie słyszy, nic nie widzi i nie daje się odprowadzić od umarłego dziecka.

Bolesław z wolna postąpił i stanął naprzeciw Wincuni, wzrok jej szklany, nieprzytomny upadł na twarz jego. Przez parę sekund wpatrywała się w niego upornie, jakby pragnęła rozpoznać rysy na które patrzyła, a zmącony umysł zasłaniał je i rozpoznać nie dawał: nagle cofnęła się o krok jeden i zawołała dziwnym głosem:

— Bolesław!

Oczy jej oprzytomniały, zsiniałe usta rozwarły się i drżały.

— Boże! szepnęła cicho a ręce jej składały się jak do modlitwy; w tej strasnej chwili, nad zwłokami mego dziecka, on znowu tu... przy mnie...?

Wyciągnęła ku niemu drżące ręce i ze strasznym łkaniem upadła na jego piersi. Całe jej ciało uginało się w okropnym płaczu, ramiona splotyły się w koło szyi Bolesława. Bolesław ujął ją w objęcia, uniósł jak dziecko i złożył na stojącej w cieniu kanapie. Potem ukląkł przy niej w milczeniu, obie jej ręce utulił w swoich dłoniach i zaczął mówić do niej cicho bardzo cicho.

Sługi usunęły się do przyległego pokoju, Bolesław i Wincunia zostali we dwoje, świadkiem był im tylko blade trupek dziecinki leżący pod cieniem krzyża, z gromnicą nad czołem. Błada twarz Wincuni smutno jaśniała wśród cieniu na ciemnym tle poduszki: rozrządane warkocze złociste wiły się w koło głowy i ramion. Milczała, z oczu jej wpatrzonych w oczy dawnego przyjaciela, płynęły dwa strumienie cichych obfitych łez. Widok Bolesława wyrwał ją z martwej skamieniałości, z serca jej wytrysnęły źródła łez dobroczynnych i z posągu boleści stała się słaba, cicho rozplakana w nieograniczonym żalu kobietą.

Bolesław ręce jej przycisnął do ust gorących.

— Pani! rzekł cicho i łagodnie, czyliż nie wiesz że boleść jest koniecznym życia warunkiem, że cierpieć na ziemi trzeba? Czyliż życie nie powiedziało ci jeszcze o tem?

— Powiedziało oddawna! szepnęła Wincunia i pierś jej podniosła się głębokim westchnieniem.

— Dziecię twoje śpi w objęciu cichej śmierci... nie przerywaj mu snu rozpaczaj twoją, mówił schylony nad nią Bolesław. Pożegnaj je z męztwem i patrz w przyszłość, czyliż ona złamana już na zawsze?

— Na zawsze! jak echo powtórzyła Wincunia. Bolesław jeszcze silniej uściśnął jej ręce i ciszej jeszcze mówił do niej zaczął. Na twarzy jego był wyraz miłości niezmierniej ale czystej, w wielkim bólu ochrzczonej, oderwaniej od siebie. Mówił długo a głos jego cichym szmerem rozchodził się po pokoju i niby technienie ożywcze, rozlewał się nad płonącą głową nieszczęśliwej. Może w tej chwili przelewał on w duszę Wincuni, te same słowa i myśli, któremi niegdyś z ciężkiej boleści podzwignął go i do życia pobudził p. Andrzej? Może jak ten względem niego tak on względem narzeczonej swego serca, stanął w postaci sumienia, przypominającego powinność życia i męztwa mimo wszelkie spadające ciosy?

Wszak sam przez długie już lata dźwigał ciężar samotności i tęsknoty, łamał się z boleścią wspomnień, a z walk wychodził zwycięzcą samego siebie. Teraz więc nadeszła chwila, w której trzeba mu było uczyć anielskiej sztuki cierpienia tę, przez którą przyszył ku niemu cierpienia wszelkie.

Wincunia słuchała jego tak cicho jak ciche były łzy, które nie ustawały płynąć po jej licu, niekiedy usta jej poruszały się z wolna i jak niewyraźne echo powtarzały słowa Bolesława, pierś jego oddychała coraz powolniej, aż na zmęczone oczy z wolna opadły powieki coraz rzadsze łzy sączące z pod długich rzęsów.

Bolesław umilkł, sam zmęczony wysileniem, blade, oparł gorącą skroń na złożonych w jego dłoni rękach Wincuni, a powolny jej oddech owiewał mu czoło.

Przed domkiem rozległy się dzwonki, Bolesław powstał i zwrócił się ku drzwiom w których stanął doktor.

Wincunia zdawała się nie nie słyszeć, powieki jej nie podniosły się, tylko gdy Bolesław odstał od niej, oddech jej stał się znowu ciężkim i pełnym łkaniem stłumionych, a ży obfitym strumieniem popłynęły po twarzy.

Doktor poważny był i zamyślony.

— Nauka zawiodła mnie na ten raz, rzekł cicho, dziś zrana odjeżdżając ztąd, miałem nadzieję że dziecicę żyć będzie, inaczej nie opuściłbym biednej matki, tembardziej... .

Zatrzymał się przez chwilę, pełnym litości spojrzaniem, orzucił nieruchomą jak posąg kobietę i ze smutną ironją dokończył:

— Tembardziej że ojciec zmarłego dziecka jest nieobecny...

Jakby w odpowiedź na te wyrazy, Wincunia zakłaskała głosić i szepnęła nie podnosząc powiek.

— Biedna dziecina moja! umarła sierotą bez ojca!

Twarz jej przybrała wyraz strasnej rozpacz, ręce splotyły się wkoło głowy i znowu zaczęły bez przytomnie targać warkocze. Bolesław zadrzał cały z niezmierną boleścią, ścisnął rękę doktora i szepnął:

— Zostań tu! ja pojedę po niego! Dla mnie tu niema miejsca na długo, a ona przecie sam na sam z trupem swego dziecka zostać nie może!

Raz jeszcze orzucił Wincunię spojrzaniem głębokiego smutku i wybiegł z pokoju. Po chwili zwrócił się z pytaniem do towarzyszącej mu ze światłem służi:

— Dokąd pojedzie p. Snopiński?

— Słyszałam, odpowiedziała, jak odjeżdżając mówił Pawełkowi, aby przysłano po niego do Piasecznej, jeśli coś złego stało się w domu.

— W Piasecznej! zawołał Bolesław a ciszej dodał, niekzemny!

W parę minut potem wśród rozłogu pokrytego śniegiem, sanie posuwały się z całą szybkością pełnym galopem pędzących koni. Bolesław co chwilę wstawał na saniach, patrzył w dal jakby najprędzej chciał ujrzeć cel swej podróży i wołał do furmana.

— Prędzej! prędzej!

Pod niebem czołgały się w tysiąc fantastycznych kształtów podarte chmury, to odsłaniając to kryjąc srebrzystą mgłą przysłonięty księżyc, z północy leciały wichry, z grzotem spotykając się i uderzając o siebie, kurzawa śnieżysta podnosiła się od ziemi, zwijała się w kłęby, rozpraszana chwilami otaczając sanie przezroczystym tumanem. Z za tumanu tego, po całogodzinnej szybkiej bardzo jeździe Bolesław dojrzał między bezlistnymi drzewami ogrodów, liczne błyskające światelka, potem oblane promieniami księżyca ukazały się białe ściany pałacyku z wieżyczką strzelającą w górę, sanie wjechały na obszerny pięknie ogrodzony a śniegiem pokryty dziedzińiec i zatrzymały się przed znacznie wzniesionym nad poziom i żelazną balustradą otoczonym balkonem.

Z obu stron balkonu długie rzędy okien gorzały jarzącym światłem, a z wnętrza mieszkania wychodził zmieszany gwar skoków, śmiechu i muzyki. Bolesław w kilku skokach przebiegł wschody i balkon wyłożony imitacją marmuru i wszedł do przedpokoju. Tam pod ścianami okrytymi kosztownym choć ciemnym obiciem wisiały liczne rzędy męskich i kobiecych futer, wielka u sufitu zawieszona lampa, rześiste rzucała światło na cały pokój, a wkoło stolika kilku liberjowanych lokai grało w karty z głośną rozmową i śmiechami. Na widok wchodzącego Bolesława, jeden z lokai porwał się z miejsca i sądząc że nowy gość przybywa, poskoczył dla zdjecia zeń futra. Zaledwie jednak poznał Topolskiego powstrzymał gest, bo wiedział że nigdy on u pani Karliczowej nie bywa.

— Czy mam Jasnej pani oznajmić o pańskim przybyciu? zapytał; zapewne pan z jakim interesem?

— Tak, odrzekł Bolesław, mam tu w istocie do rozmówienia się o interesie, ale tylko z panem Snopińskim. Czy jest on tutaj?

— Od rana, odpowiedział lokaj.

— A więc proszę cię abyś mu oznajmił że jest tu ktoś, komu bardzo pilno go zobaczyć.

— Czy pan nie wejdzie do salonu?

— Nie.

Lokaj rzucił spojrzaniem na ubranie Topolskiego i uśmiechnął się nieznacznie. Bolesław był w codziennym swym ubiorze, a w takim nikt nie zjawiał się na salonach pani Karliczowej nigdy, a tembardziej

w dniu jój imienin. Bo był to właśnie dzień imienin pięknej pani, którego Aleksander nie opuścił ani razu od lat już wielu, bez złożenia jój życzeń i wzięcia udziału w zabawie. Teraz mniej niż kiedy mógł dopuścić się podobnego zaniedbania, bo od pewnego czasu obejście się pani Karlicz, zaczęło drażnić go chłodem i mało nawet ukrywanem szyderstwem. Był on wprawdzie przyzwyczajony do zmienności humoru i upodobań kapryśnej wdowy, w czasie lat ubiegłych nieraz tracił jój łaskę i odzyskiwał ją z powrotem, ale teraz przewidywał, przeczuwał raczej że groził mu zupełny ostracyzm, z tego domu pełnego zbytku i blasku, który stał się mu nałogiem i koniecznością, z którym stosunek uważał za piedestał swój chwały, bez którego nie pojmował życia.

Lokaj odszedł z poleceniem Bolesława i wychodząc z przedpokoju zostawił za sobą drzwi otwarte. Drzwi te wychodziły do pysznie ozdobnej sali jadalnej, w której właśnie służba kryształami i srebrem zastawiała stół do wieczery, a za salą ciągnęła się długa amfilada salonów większych i mniejszych, pełnych światła i przesuujących się strójnych postaci.

W niewielkim przylegającym do jadalnej sali salonie, którego drzwi nie przysłonięte portjerą na oścież były otwarte, towarzystwo dzieliło się na kilka grup oddzielnych. Pomiedzy oknami około obszernego stołu, zasiadło kilkanaście osób kobiet i mężczyzn z kartami w ręku. Grano znać w powszechnie naówczas używaną w salonach grę zwaną *kommersem*, bo co chwilę ktokolwiek z grających podnosił w górę trzy karty i z tryumfem wołał: *sekwens!* albo: *brylant!* Wtedy wybuchały śmiechy, żartobliwe sprzeczki, męszały się karty, rozdawały znowu i znowu po chwili wołał ktoś z radością: *brylant! brylant!* a z rąk grających karty z szelestem padały na marmurową płytę stołu, ozdobioną w środku wielkim ptakiem rajsłym z mozaiki.

Naprzeciw tej gwarniej i wesołej grupy, siedziała przy fortepianie strojna i piękna panna ze złocistymi lokami, opływającymi ramiona i suknią z liljowej materji. Jedną ręką uderzając oderwane akordy, ustrojona głowę zwracała do kilku młodych ludzi, którzy ją otaczali, prowadzili z nią salonową, dowcipną rozmowę, tak urywana jak były tony wychodzące z pod jój kapryśnie przebiegającej po klawiszach ręki. „Schubert! Schubert! c'est divin! zawołał głośniej od innych stojący za jój krzesłem jakiś przystojny młody blondyn, ze szkiełkiem w oku „chantez quelque chose de Schubert M-lle Amelie!“ Piękna panna zwróciła ku niemu wielkie szafirowe oczy, uśmiechnęła się i obu rękami przebiegła klawisze, dzwicznym sopranem rozpoczęła śpiewać jedną ze smętnych arii Schuberta. Tęskne tajoną namiętnością drżące tony, łączyły się z wesoło-pustymi śmiechami kompanji grającej w kommersa; przystojny blondyn stojący za krzesłem śpiewaczki wpijał wzrok w jój gęste weneckiego koloru włosy i w białą zdobiącą je z pyszną prostotą kamelją.

W rogu salonu na małej błękitnym atłasem obitej kozetce, siedziała sama pani Karliczowa. Ubrana była w powłóczystą suknię z białego kaszmiru, po której niedbale ciągnęły się gałęzie koralu: głowę strojona w krucze włosy i grube koralowe sznury zwracała z wdziękiem ku dwóm młodym ludziom, opartym o poręcz kozetki, a nóżkę wysuniętą z pod sukni niedbale opierała na leżącej u jój stóp aksamitnej poduszce. Obok niej z dwóch stron przeciwnych stały dwie osoby: jedną z nich była młoda wyniosłej postaci panna z wysoko zaczesanymi światłymi włosami i klasycznym profilem, drugą Aleksander Snopiński. Stał on obok pani Karlicz, ale jak w tęczę patrzył w twarz wyniosłej panny, która nie patrzyła na niego lecz od niechcienia bawiła się delikatnymi listkami trzymanej w ręku róży — i od czasu do czasu tylko dorzucała słówko do żywej rozmowy prowadzonej przez panią domu z dwoma stojącymi za nią mężczyznami w wytwornej i pańskiej powierzchowności. Postawa Aleksandra wydawała się zakłopotaną, z całej grupy do której należał, nikt do niego nie mówił i nikt na niego nie patrzył, na twarzy jego znać było widoczne usiłowanie okazania się swobodnym, wtrącanie się do rozmowy toczącej się obok i zwrócenia na siebie uwagi pięknej panny i właśnie najbardziej w skutek tych usiłowań, które się nie powodziły, raziło go wygląd obok otaczających go pełnych wytwornej swobody i elegancji postaciach.

Wyraźnem było że znajdował się w niewłaściwej sobie sferze, lubo całą siłą pragnął zlać się z nią i spoić w harmonijną całość. Za tym błękitnym o trzech oddzielnych grupach salonikiem, w długiej

amfiladzie salonów widać było przez wpół rozwarte portjery, młode kobiety przechadzające się pod rękę z wachlarzami w dłoniach, matrony siedzące na aksamitnych kanapach, młodych ludzi przesuujących się pomiedzy kobietami, poważnych mężczyzn rozprawiających między sobą z zajęciem, a z góry na głowy bawiących się spływały białe, szafirowe i różowe światła lamp i pajaków — a pod ich stopami, barwiły się puszyste kobierce i woskowana posadzka błyszcząca niby liczne zwierciadła, które rozwieszono po ścianach, wznosiły blask światła i z salonu do salonu posyłały sobie odbicie różnych grup, twarzy, strojów, obrazów — daleko — daleko — zda się do nieskończoności.

Cały ten obraz różnorodnej zabawy, przedstawił się oczom Bolesława przez rozwarte drzwi od przedpokoju i sali jadalnej. Wiała zeń atmosfera wesołości i rozmarzenia, dźwięków muzyki połączonej ze szmerem uwielbień, śmiechu, z westchnieniami rozdrażnionych piersi, światła, kwiatów, woni, szeleszczących szat kobiecych, budzących się i znikających jak meteory namiętności, zapomnienie o jutrze a utonięcie w rozkosznym odurzającym dzisiaj.

Patrzył Bolesław na obraz ten i zamyślił się boleśnie: porównywał go może z tym pół ciemnym pokojem pełnym śmierci i rozpacz, który opuścił przed godziną i w którym zostawił Wincunię. Odwrócił oczy i bezwiednie rękę przycisnął do serca, które biło mocno boleścią wielką — wielką. Z zamyślenia obudziły go szybko zbliżające się ku niemu kroki. Aleksander stał przed nim ze zdziwieniem i próżno ukrywanem zaniepokojeniem na twarzy. Bolesław orzucił go w milczeniu zimnem wejrzeniem.

— Pan chciałeś widzieć się z mną, służę panu, z pewnem zakłopotaniem, wyrzekł Aleksander i podał mu rękę. Bolesław nie wyciągnął doń swojej i wyrzekł półgłosem, przenikliwy wzrok topiąc w jego twarzy.

— Panie Snopiński! córka pańska umarła.

Aleksander zbladł i z nieudaną rozpaczą pachwycił się za głowę.

— Umarła! krzyknął, wielki Boże! dziś zrana do kór mi mówił że żyć będzie!

— To pana tłumaczy że tu jesteś, z goryczą nad którą zapanować nie mógł rzekł Bolesław i dodał, żona pańska pozostała w domu sama, — i w rozpacz.

— Jędę, jędę, zawołał Aleksander, i zwrócił się do lokaj, kaźcie tam moje konie zaprzęgać. Co za nieszczęście, mówił dalej a oczy jego napełniły się łzami, takie śliczne dziecko! Dziś jeszcze byłem pewny że żyć będzie! Poniósł do oczu chustkę i zaszczołał. W tej samej chwili na progu drzwi od przedpokoju stanęła owa wyniosła panna z różą w ręku, na którą przed chwilą Aleksander patrzył był z tak nietajonem uwielbieniem. Powabnym i majestatycznym krokiem przeszła ona salę jadalną, i z dumnie podniesioną głową rozéjrzała się po przedpokoju. Kiedy nawpół zmrużone wielkie i piękne jój oczy upadły na Aleksandra rozmawiającego z Bolesławem, poczęła znowu od niechcienia oskubywać swą różę i wyrzekła głosem bardzo obojętnym, w którym dosłyszec można było pewne nawet lekceważenie.

— Monsieur Snopiński! Posłano mi abym panu powiedziała, że potrzebny pan jeste do *kommersu* ktoś tam wstał od gry i pan masz go zastąpić.

Na dźwięk głosu wyniosłej panny, Aleksander żywo odjął chustkę od oczu, rozjaśnił twarz najpiękniejszym uśmiechem i zwrócił się do mówiącej z elegancją ukłonem. Ale ona nie patrzyła już na niego, odwróciła się z wolna oskubując ciągle śnieżną centyfolję i jednostajnym, dumnym krokiem powoli odeszła w głąb salonów. Snopiński zwrócił się do Bolesława, który patrzył na niego ze zdziwieniem i ironją.

— Natychmiast będę panu służył, pojedziemy razem, nieprawdaż? ale wprzódy muszę pójść pożegnać kompanję.

Rumieniec oburzenia pokrył twarz Topolskiego, nie mógł dłużej opanować się i silną ręką ujął ramię Aleksandra.

— Nie pójdziesz pan żegnać kompanji, rzekł zniżonym od wzburzenia głosem, tam żona pańska umiera z żalu, a nie ma komu wyrzec do niej słowa pociechy...

Tym razem nie żal, ale gniew ukazał się na ruchliwej fizjonomji Snopińskiego, połączył się wnet z szyderstwem i młody człowiek zuchwale patrząc w twarz Bolesława, wyrzekł pełnym złości tonem.

— A dla czegoż pan nie chciałeś przyjąć na siebie roli pocieszyciela mojej żony?

Bolesław odstąpił nagle parę kroków, brwi mu się zsunęły i zadrżały usta, zdawało się że na głowę człowieka, który stał przed nim z szyderstwem na ustach, wnet ciśnie wyrazem pogardy. Ale gwałtowne to poruszenie trwało przez jedno mgnienie oka, przesunął rękę po czole i rzekł z zimnym spokojem.

— To coś pan wyrzekł jest niezastużoną obelgą, tak dla mnie jak dla tej nieszczęśliwej kobiety, która jest pańską żoną. Ale widzę w panu w tej chwili nie zwyczajnego człowieka, któremu bym mógł obelgą za obelgę płacić, ale jój męża, który jakkolwiek bądź jest jedynym człowiekiem mogącym w ciężkiej chwili, przynieść jój pociechę i wsparcie.

Przebaczam więc panu słowa któreś wyrzekł przed chwilą; ubieraj się i jedź.

Zimny spokój z jakim Bolesław słowa te wymawiał, gest jego poważny a nakazujący zmieszają Aleksandra. Łękliwa i chwiejna jak trzcina jego natura z gniewu i szyderstwa przeszła nagle do żalu i pokory.

— Ależ przebac pan, przebac, mówił pośpiesznie, uniosłem się na chwilę, ale nie chciałem pana obrazić... wiem że pan jesteś najlepszym, nieocenionym przyjacielem naszym...

I pochwyił rękę Bolesława chcąc ją uścisnąć, ale Topolski z lekka usunął się od tego gestu i zimno wyrzekł.

— Nie jestem pańskim przyjacielem.

Na twarzy Aleksandra zadrżała znowu złość i obrażona miłość własna.

— A więc przyjacielem mojej żony, zawołał ze zjadliwym śmiechem.

— Tak, spokojnie odpowiedział Topolski, jestem przyjacielem żony pańskiej i jako taki mówię panu raz jeszcze: ubieraj się i jedź, bo każda chwila samotnej jój rozpaczki mnie który nie jestem jój mężem, ale tylko przyjacielem lat dawnych, cięży na sercu i sumieniu.

— Ależ konie moje nie założone jeszcze, rzekł Aleksander zmieszany znowu zimną krwią Bolesława i przelotne spojrzenie rzucił na drzwi do salonów.

— Nie będziesz pan czekał aż ci konie założą, ale pojedziesz memi końmi ze mną, stanowczo powiedział Bolesław i zwrócił się ku wyjściu. Aleksander spojrzął raz jeszcze na drzwi od salonów i całkiem opanowany chłodną energją Topolskiego postąpił za nim. W chwili gdy obaj siadali na sanie z okien pałacu buchnęła muzyka i zagłuszyła resztę gwaru. Było to przepyszne trio złożone z fortepjanu, skrzypiec i fletu wykonywające uwerturę z Wilhelma Tella. Snopiński trzymał wzrok utkwiony w oświetlone okna pałacyku, aż póki świetny ich rząd nie zniknął mu z oczu, po za grupami drzew ogrodowych.

Konie Bolesława biegły znowu z wielką szybkością po białym rozłogu, sanie kopiąc się płozami w zaspach śniegu skrzybiały i jęczały, dzwonek srebrzyste tony posyłał w przestrzeń, z oddali wicher przynosił odgłosy innych jeszcze dzwonek — były to może odgłosy jakiego szalonego wiejskiego kuligu o maskach i dziwacznych kostiumach, albo weselnej drużyny spieszącej do ołtarza ślubnego, do sali tańecznej.

Dwaj mężczyźni jechali długo w milczeniu. W ręku Aleksandra kilka razy zabielała batystowa chusteczka, podnosił ją do oczu i lzy ocierał. W końcu ozwał się głosem przerywanym szlochaniem:

— Jestem najnieszczęśliwszy z ludzi! Straciłem dziecko w którym pokładałem mnóstwo nadziei. Niewiem czy pan widziałeś kiedy naszą Andzię, obiecywała być bardzo piękna. Wyglądała nie na szlacheckie ale na prawdziwie pańskie dziecko taka była szczupła i delikatna. To też często myślałem sobie, że dam jój świetną edukację a gdy dorosnie zrobi pewnie znakomitą partję. Nigdybym ją nisko za mąż nie wydał. Marzyłem dla niej o którymkolwiek z dwóch synów Hrabiny, wszak to w sąsiedztwie a choć oni będą mieli miliony i tytuł, ależ i my przecie z dobrego pochodzimy rodu i coż to się zresztą na świecie nie dzieje!

Teraz wszystko przepało!

(d. c. n.)

LISTY

BRUKOWCA WARSZAWSKIEGO.

Jeżeli Cygan może pisać korespondencje do Kurjera warszawskiego, Brukowcowi prędzej to ujdzie. Mogę być mój mości Redaktorze ciekawskim wsuwającym oczy i uszy wszędzie, gdzie radzi lub nieradzi; mogę ludzi kłócić i niepokoić, mogę wreszcie obmową dopiec a złośliwym słowem dogryść, zawsze jednak nie jestem cyganem, a to wiele znaczy. Cygan to jak wilk na wsi za którym wszyscy krzyczą, a półdziesiąt! brukowiec tylko wałęsacz i zbijacz Warszawskiego bruku, cygan ma pewne właściwości, wadząc się wiecznie z kodeksem kar poprawczych, Brukowiec jest zwykle próżniakiem czasem darmozjadem ale nigdy..., cyganem. Mogą się skarżyć kamienie, że je szlifuje i niszczy, ale kamieni jak gwiazd na niebie, chodzą czasem w oprawie zowiącej się człowiekiem. Nie pożaluj więc mości Redaktorze dla głosu Brukowca, kącika w swym Tygodniku. Nowinki to pożądana strawa dla wszystkich, począwszy od robotnicze szczotką w rękę, wyczekujących pod murem zarobku, aż do szczytowych mieszkańców poddachowych wyżyn, a mam je zawsze na zawołanie.

W księgarni p. Kaufmana na wystawie ulicznej znajduje się portret fotograficzny Traupmana, owego głośnego zbrodniarza, który po ukończonym śledztwie, uznany został za jedyne sprawcę morderstwa popełnionego na ofiarach znalezionych w Pantin. Młody to jeszcze człowiek, twarz długa, śniada, włosy krótko ostrzyżone, całej postaci nadaje wyraz niemily, jakby zapowiadający czyn, nad którym przykro zatrzymać się nawet myślą. A nie jest to uprzedzenie.

Wszelkie ważniejsze sprawy ludzkie, poprzedza zwykle długie do nich przygotowanie, nabieranie skłonności, usposobień, wyrabianie myśli w pewnym obranym kierunku, co wszystko na wykształcenie rysów twarzy musi odpowiednio oddziaływać. Dla tego to twarz mędrca bywa tak poważną, dobrego człowieka ujmującą, złego wstrętą, głupca głupią, więc i zbrodniarza odpychającą. Zostać Traupmanem nie można odrazu, cały przebieg jego życia chociaż nieznanymi jeszcze dokładnie, zapewne wykaże wszystkie ścieżki i drożyny jakimi idąc, doszedł wreszcie aż do Pantin. To powolne przygotowywanie się widnieje w wystawionym portrecie.

Jaka jednak przyczyna mogła go skłonić do podobnie barbarzyńskiego występkę? Niezawodnie pieniądze bo i cóż by innego? Och ten pieniądz to siła jakiej nie ma równiej na świecie. Człowiek potęgami natury usługuje się jak swym pokornym niewolnikiem i tworzy niemal cuda, pieniądz samego cudotwórcę rzuca na ziemię, obrzuca błotem i zda się wydzierać z niego nieśmiertelność. Z takim siłaczem walka niebezpieczna, z potęgą jego wszędzie spotkać się można, wszystko potracą, rozbija, kruszy, przekreśla i przewraca, a kto go nie posiada staje się pokornym, potulnym, maluczkim, istnym karzełkiem między olbrzymami. Być podeptanym choćby przed wystawą wekslarzy, co z tak ujmującym wdziękiem czarownicą tę siłę w postaci brzęczących metali i papierów publicznych, umieją ujawniać, rzecz nie bardzo pojęta. Przy natłoku często zdarzającym się i o szturchańca nietrudno; porzucam więc nastrój myśli poważnych i nucąc starą piosnkę, o marności rzeczy ziemskich, ruszam dalej w uliczne przestwory Warszawy.

Na rogu rozlepione afisze ściągają przechodniów. To zapowiedź dwóch koncertów, występy dwóch znakomitości muzycznych, jednego skrzypka drugiego fortepianisty. Obadwa z ustaloną przyjeżdżają do nas sławą, z oklaskami i zaszczytami po całej niemal Europie zbieranymi. Skrzypek Izidor Lotto to nasz ziomek, Warszawianin, fortepianista Antoni Rubinstein urodzony w Mołdawji na granicy Besarabskiej, który już w dziesiątym roku życia, zamieszkuje z rodzicami w Moskwie dał tamże koncert, a we dwa lata później występował publicznie w Paryżu, przed najpierwszymi znakomitościami muzycznymi. Lotto

także w dziesiątym roku życia grywał na skrzypkach publicznie, ale już nie dla popisu, tylko dla chleba, dla koniecznego zarobku, i to w pierwszym lepszym miejscu gdzie się zdarzyło, w ogrodzie, na ulicy, na podwórzu kamienicznym. Dla obydwóch Paryż gościnnie otworzył podwoje: pierwszego wystali tam rodzice jako zamożniejsi, drugiego miłośnicy sztuki Obadwa dziś, Rubinstein liczy lat 40, Lotto 29, już są pierwszorzędnymi znakomitościami, gra ich zarówno zdumiewa jak zachwyca a ton jaki potrafią wydobyć ze swych instrumentów, rozróżnisz wszędzie, i poznasz pomiędzy tysiącami innych tonów. Wielki talent wspomóżony wielką pracą, podniósł obydwóch na stanowisko jakie zajmują. Talentom więc sława, pracy cześć, ale cenie biletów najuniżeńszy ukłon.

Jakiś zacy kapitalista, według doniesienia Kłósów, zobowiązał się ofiarować 10000 rs. na założenie Towarzystwa wsparcia podupadłych literatów, i wdów z sierotami po nich pozostałych. Projekt ustawy już się przygotowuje, a gdy wyjednanie zostanie odpowiednio pozwolenie, myśl tak zacna wejdzie natychmiast w wykonanie. Naturalnie że zostaną członkiem, choćby mi na składkę przyszło zapożyczyć się, jak to zapewne niejedyni robi idący na koncerta panów Rubinsteina lub Lotta. Instykt zachowawczy ma swoje prawa; usprawiedliwiony więc zupełnie poeieszam się tymczasem symfonicznymi koncertami pana Mincheimera i świątecznymi wystąpieniami orkiestry pod dyrekcją pp. Lewandowskiego i Kuhnego. Pierwsze choć liczniejsze jak w roku zeszłym, nie mają jednak tego powodzenia co świąteczne pana Lewandowskiego. Przyczyną tego nie brak zamiłowania w klasycznej muzyce, ale niestałość terminów w jakich nas darzy p. Mincheimer swą prześliczną muzyką. Jeden dzień ale stanowczo w tygodniu wyznaczony, mógłby tę przeszkodę usunąć. Publiczność nie doznając zawodu, chwilę wieczorne przeznaczone zabawie i odpoczynkowi, regulowałaby odpowiednio i salon zawsze byłby pełny. Wprawdzie nie zależy to od woli Szanownego Dyrektora, ale od repertuaru teatralnego, któremu orkiestra jakiej pan Mincheimer w symfonicznych wystąpieniach przewodniczy, musi być posłuszną. Czyżby więc nie dało się Dyrekcji Teatrów uprosić, tak dbałej i pieczołowitej, o uwzględnienie tej konieczności?—Jeden dzień nie darowany orkiestrze, ale wyłączony od przedstawień Teatru Wielkiego, nie przyniesie żadnego uszczerbku dochodom. Ofiara możebna, a oczekuje jej z upragnieniem zarówno orkiestra jak i miłośnicy muzyki, zwłaszcza że z nową Dyrekcją zamiłowanie do Teatru wzmagają się rzadki dzień, aby też nie były przepelnione.

Już to Piękna Helena pod względem kasowym prym trzyma przed innymi. Trzydzieści kilka przedstawień w krótkim dokonanych czasie, zawsze licznych od dołu do góry, zasługuje na uwagę.

W zakończeniu należałoby coś wspomnieć o zakładzie rzemieślniczym dla kobiet p. Szmida, skrzętnie chodzącym około jego jak najpomyślniejszego rozwoju; wartoby poświęcić także choć słów kilka kaprysom aury listopadowej, darzącej nas naprzemian, śniegiem, deszczem i prześliczną pogodą, ale nudne o sprawy, szczególnie dla Brukowca, co posłuszny próżniaczęj naturze, nie lubi ani przymówek ani przeszkód w ulicznych wędrówkach. Polecam więc powolne me służby względem i łasce Czytelniczek Tygodnika Mów, jak również i Waszej mój mości Redaktorze.

Kronika teatralna.

Balet Flick i Flock. — Raj Miliona, obrazek dramatyczny z francuskiego dowolnie przełożony przez Kazimierza Kaszewskiego.

Tydzień ubiegły odznaczył się aż dwiema nowościami: balet na Wielkim, obrazek dramatyczny na małym teatrze. Rozbiór produkcji choreograficznych nie jest naszym udziałem, bo też dwaj nieustraszeni podróżnicy *Flick i Flock*, przelotem tylko zajrzą do

naszej kroniki. Balet ten jest z rzędu tych świetnych jasełek, którym dzisiaj przyklaskuje cała Europa, w których maszynista, dekorator i pyrotechnik, tyleż znaczą co muzyk i tancerz, a teatr wtedy staje się szopką. *Flick i Flock*, to jasełka na wielką i estetyczną skalę, i musimy oddać sprawiedliwość naszemu teatrowi, że pod względem wystawy i wystawności wcale nie stanął niżej od teatrów zagranicznych. Pod względem dekoracji, trzy mianowicie rzeczy godne są uwagi i świadczą o wysokim artystycznym uzdolnieniu naszego teatralnego dekoratora, to jest: grota drogich kruszców i kamieni, serya stolic europejskich i apoteoza (czego?), Ze wszystkich zaś scen jasełkowych jakie wypełniają ten balet, scena w grocie wzięta wprost na skalę fantaski, jest istnie czem nader pięknym i rozweselającym umysł; to uplastyczniona, wdziękiem barw, światła, muzyki, pantominy, umysłowiona jedna z tych historii o zaklętych królewnach, o światach nadprzyrodzonych, któremi imaginacja nasza radowała się kiedy byliśmy dziećmi. I dziś jeszcze ten balet łączący w sobie tyle życia i gustu, starczy na długie uradowanie nasze chociażbyśmy już dorosli.

Nareszcie po długim wypoczynku i teatr Rozmaitości, ożywił się jedną nowością. Czas też był po temu. Nowość to materyalnie drobna, jednoaktowa, ale mająca i poetyczne i sceniczne znaczenie, jak to zaraz zobaczymy.

Jest jedna anegdota z młodych lat Miliona, powtarzana przez wszystkich jego biografów, podająca że gdy młody ten poeta raz strudzony przechadzką w lesie pod Londynem, zasnął sobie w cieniu drzewa, za zbudzeniem się znalazł w swych rękach karteczkę, zawierającą czworowiersz z jakiegoś włoskiego poety, którego treścią była pochwała oczu. Zdarzenie to zrobiło sensację na duszy młodego entuzjasty, pragnął on wynaleść sprawczynię tego komplementu, ale mu się to, jak sam powiada, nie udało. Umarł, i nie umiał w to ugodzić. Komplement to jednak nie był czczy, bo Milton był istotnie ślicznym młodzieńcem, szczególnie też odznaczał się urokiem oczu, smutna ironja! tych oczu, które miały tak wcześniej zająć mgłą wieki.

Z tego to zdarzenia dwaj francuscy poeci ułożyli romans dramatyzowany, który w dowolnym przekładzie p. Kazimierza Kaszewskiego widzieliśmy po raz pierwszy, w dniu 6 Listopada na scenie Teatru Rozmaitości. Milton do tego zdarzenia przygotowany jest w samym już śnie widzeniem proroczym. Już ta wizja która miała na jawie powitać go apologiją oczu, w śnie jego przybrała ciało, szeptała mu ciche a gorące wyrazy miłości, poświęcenia, tajemnicy. Zbudzony sprostregą w rękę jakoby ślad miłostnego widziadła, zrywa się rozkochany w wizji swój jak szalenciec, jak poeta. Daremne perswazje przyjaciela, on szukać jej będzie po całym świecie, dopóki nie straci rozumu albo życia. Któż jest tą wizją senną i ucieleśnioną? Nikt inny, według inwencji dramatu, tylko przyszła żona jego, Marja Powel, która przechodząc z przyjaciółką obok śpiącego poety, dawno już zakochana w jego geniuszu, zrobiła małego figla, wsuwając mu karteczkę z owym wierszem o piękności oczu. Nieznana mu wcale, nie mająca środka zbliżenia się doń inaczej, a wiedząc że Milton po owym zdarzeniu jest smutnym i zbolalym, nie domyślając się przyczyn jego boleści, przebrała się za prostą wieśniaczkę i pod opieką starego sługi (udającego stryja) przyszła do jego domu jako służąca, aby mieć opiekę nad ukochanym. Czułe jej oko, dłoń przyjazna, odsuwa od niego ile może strapienie i chorobę; oboje cierpią z jednego powodu, z miłości, i kochają się nie wiedząc o sobie. Zadaniem więc tego dramatu jest ułożyć tak stosunki i wypadki, ażeby nastąpiło wzajemne poznanie i wyznaczenie. Nie nastąpiło to bez nadwreżenia chronologii, bez pewnego naciągnięcia, tak jak mniej więcej w każdej komedji, która nie jest arcydziełem; tu zaś komedji niema prawie wcale: tu są tylko obrazy potęgi uczucia, cierpienia, poświęceń. Z tem wszystkim ruch sceniczny, zaintrygowanie, równa się komedji w całym znaczeniu, pomimo to jednak najwyższą zaletą tego utworu stanowi poetyczność sytuacji i dykcji. Takie rzeczy, jak ten utwór, udostojniają scenę, czyniąc z niej przybytek myśli szlachetnej, potężnego a uroczego słowa, widowniej znacznych charakterów. Jest ich tu cztery, a lubo rzecz rozcina się w jednym tylko akcie, twórca tego poematu, z pomocą polskiego pisarza, każdemu z tych charakterów nadał życie, znaczenie samo-

istnie i siłę. Milton (p. Tatarkiewicz) entuzjasta i marzyciel to swoje zakochanie się w wizji uważa za karę Boga, którego w dumie swój ludzkiej obrazil; powiada:

„Obrazilem Pana;

„Więc Pan zakul mnie w łańcuch jak ongi szatana!

i pisze swój *Raj utracony*, który Marja miała mu powrócić. Cierpienie serca, które w długiej a pełnej ognia wypowiedzi tyradzie, godne byłoby znaleźć miejsce w najlepszej tragedji. Walter p. Piasecki, przyjaciel jego, to także zakochany po swojemu, ale tylko w tej Marji, którą widzi przed sobą, w służce Miltena, poświęcony i sympatyczny, wbrew uczuciu własnemu nie posiada się ze szczęścia, gdy dowiaduje się prawdy i ukochaną oddać ma w ręce innego — ale ten inny jest jego przyjacielem. Lekki *Reynolds*, (p. Kwieciński), znajduje szlachetną powagę kiedy broni ojca swego przeciw piśmienną napaści Miltona, z którym obchodzi się z całą wspaniałomyślnością. Słowem wszystkie charaktery tchną jakąś wyższością ducha, tak iż Maryi, (p. Rakiewiczowa), nawet wybaczymy nieco nienaturalną, a przynajmniej wyjątkową awanturność, na widok tej głębokiej miłości jej i poświęcenia dla wielkiego człowieka.

Artyści pojęli swoje zadanie; zgodni dostroili się w tym duchowym kwartecie, w którym dwa pierwsze głosy należą pani Rakiewiczowej i p. Tatarkiewiczowi. Ten ostatni potrafił znaleźć w piersi swój dosyć zapalną, ażeby być tłumaczem wzburzeń silnego a kapryśnego serca, dosyć modulacji w głosie, aby właściwą cechą oznaczyć wszystkie przejścia z wrażeń do wrażeń, jakie przeżywa Milton w tym życia swego fantastycznym ustępie: gra jego obudziła w wielu słuchaczach doraźne przypuszczenie, że i sam aktor musi być nieco poetą, kiedy tak wybornie pojął poetycznego serca tajemnice. Ta jego gra budzi w nas przekonanie, że z równem powodzeniem mógłby grać rolę *Rolli* w *Arcydziele Nieznanem*, które tak dawno już zasnęło na scenie naszej. P. Piasecki i Kwieciński role swe oddali z godnością i należytem zrozumieniem, p. Kwiecińskiemu mianowicie winniśmy oddać sprawiedliwość, że posiada przedewszystkiem wymowę czystą, wyraźną, wiersze skanduje wybornie, z czuciem a bez deklamacji: znać na nim pod tym względem nie tylko dar wrodzony, ale i wpływ mistrza jego p. Chęcińskiego, który sztukę pięknego wygłaszania poezji, doprowadził do wysokiego stopnia. Niema co i mówić o pani Rakiewiczowej, dla której rola ta, po wielu innych nierównie trudniejszych, była tylko zabawką. Ukazywała się też ona na scenie jak zjawisko pełne wdzięku, rozsypując perły swego melodyjnego, głosu którym zwykłe czaruje słuchaczy.

Polski przekład tego wzniosłego poematu zupełnie formą dorównywa treści. Jest to harmonijny i urozmaicony szereg pięknych wierszy, które miejscami jak kaskada spływają na umysł słuchacza, i dopomagają do zbudzenia w jego sercu tych przyjemnych wrażeń, jakie wywołać mają zacne charaktery wprowadzonych osób. Jest to, słowem, sztuka, tak treścią jak i formą niezwykłą, wyróżniająca się z pomiędzy tego tłumu dzisiejszych produkcji, w których dbałość o warunki moralne i literackie tak mało bywa zachowywaną; sztuka przeznaczona raczej dla umysłów wyborowych niż dla większości poszukującej drażniących efektów.

X.

Wiadomości miejscowe.

Biblioteki w szpitalach. W Tygodniku ilustrowanym p. Aleksander Makowiecki co pierwszy podniósł myśl otworzenia kuchni tanich, rzucił projekt założenia przy szpitalach bibliotek, zaopatrzonych w książki odpowiednie dla chorych, przychodzących do zdrowia. Myśl ta i pożyteczna i bardzo praktyczna, pięćdziesiąt tomów na pierwszy początek dla każdego szpitala, jest tak niewielką ilością, że przy dobrej woli sami członkowie rad opiekuńczych przy tych instytucjach, z małym bardzo dodatkiem pieniężnym, mogą je zgromadzić. Idzie tylko o zajęcie się tą sprawą, o zebranie kółek działających i odezwanie się do publiczności, a można być pewnym, że książki spłyną się z różnych stron, boć to gość nie wszędzie chętnie cierpiący.

Komisjonerzy miejscy. Wszędzie w większych miastach urządzoną jest służba przeznaczona do za-

łatwiania poleceń, interesów i posyłek prywatnych za małym nader wynagrodzeniem. Należący do niej, zaopatrzeni w stosowne znaki, stoją przy rogach niemal wszystkich ulic ludniejszych, gotowi na każde skinienie interesanta. Wygoda to wielka, zwłaszcza że ludzie należący do niej są niezmiernie pilni w pełnieniu swych obowiązków. Podobna służba ma być i w Warszawie zaprowadzoną, jeżeli jednak powstanie odrazu z rozrzuconiem jej w całym środku miasta, to niemal można być pewnym, że się nie powiedzie. Kraków nie odrazu zbudowano, i zapewne rozpoczęto go od małej budki rybackiej, stanowiącej gościnny przystanek dla wiślanych żeglarzy. Tu rozdilibyśmy to samo zrobić, zwłaszcza że jeżeli przywyknienie mieszkańców do nowego obyczaju nie jest łatwym, to trudność wynalezienia odpowiednich ludzi, pewnych, trzeźwych, roztropnych także jest niemną. Na początek niechby dwóch a trzech najwyżej postawio przy więcej ruchliwych punktach np. przy Żelaznej bramie, Grzybowie, na Giełdzie, lub przy ulicach wiele sklepów posiadających. Później gdy publiczność zacznie nawykać, gdy posłaniec taki stanie się jej potrzebą konieczną, można liczbę ich powiększać. Dziś jeden nawet komisjoner mało będzie miał zatrudnienia, co dopiero kilku lub kilkunastu.

Dolina Szwajcarska. Według wiadomości podanej przez pisma codzienne, ma w niej w roku przyszłym w lecie grywać orkiestra Straussa z Wiednia. Kurjery podając wieść tę nie ręczą za pewność, chociaż sprawdzenie nie przedstawiało żadnych prawie trudności. Bądź co bądź, Bilse stracony dla Warszawy przynajmniej na rok przyszły, czy nam stratę tę wynagrodzi p. Strauss, przyszłość pokaże.

N. 96 Przyjaciela Dzieci wyszedł z druku i zawiera: Koń arabski (z drzeworytem). — Los rozbitków z okrętu Adelina Eliza. — Pierwsze dni pobytu na wyspie. — Patron dzieci św. Mikołaj (z ryciną). — Według stawu grobla (komedyjka opowiedziana, ciąg dalszy). — Rozmowy naukowe z ojcem. — O narzędziach duszy w ciele ludzkim. Drzewo chlebowe, przez Gór... — Jalmużna (wiersz) — Myśli i zdania.

Cena prenumeraty wynosi w Warszawie kwartalnie rs. 1 kop. 5, na prowincji i zagranicą kwartalnie rs. 1 kop. 75.

N. 97. Przyjaciela Dzieci zawiera: Włóścianie z okolic Biecza, (z drzeworytem). — Los rozbitków z okrętu Adelina-Eliza. — Napaść. — Bambonaksa, (z ryciną). — Według stawu grobla, (komedyjka opowiedziana), (c. d.). — Rozmowy naukowe z ojcem. — O narzędziach duszy w ciele ludzkim. — Przewidzenia Alfreda (z ryciną). — Pszczoły, (wiersz). — Mądra odpowiedź (bajka). T. Mikorskiego. Myśli i zdania.

O UBIORACH.

Powracamy dziś jeszcze do sukien z magazynu panien Kuhnke, do których modele zakupione zostały w Paryżu tej jesieni.

Zaczynamy od ślicznej ślubnej. Suknia ta biała atlasowa, powłóczysta, miała tunikę iluzjowy wygarnirowaną całą ruszami a u brzegu blondyną. Stanik atlasowy wycięty z bawetem, przysłonięty był kanzutem z rękawami. Kanzut ten równie jak rękawki, nagarnirowany raz koło razu delikatną ruszką iluzjową. Z tyłu wzdłuż tuniki dany rząd kokard białych atlasowych. Z pod stanika spadały na tunikę długie gałązki mirtu i kwiatu pomarańczowego.

Suknia aksamitna czarna powłóczysta, miała dół przybrany w odstępach, wpuszczonemi fałdami *à la Godet*. Wielkie te fałdy, naszyte w rozcięciach, podobne były atlasem czarnym, z wierzchu pokryte klapką, spadającą od sukni. Brzegiem szła wązka pasmanterja. Stanik z bawetem przybrany pasmanterją i koronką, zarówno jak rękawy.

Suknia *poult de soie* ciemno zielona rozmarynowa, miała z przodu trzy rusze jedwabne przedzielane wałeczkami. Tył powłóczysty od boków, przybrany był trzema wolantami. Stanik wysoki z bawetem miał podniesiony w górę kołnierzyk *Medicis*, podgarnirowany walansienką. Rękawy ozdobione ruszą jedwabną, miały podobne podgarnirowanie z koronki.

Z kostiumów wizytowych piękny był bardzo czar-

ny jedwabny. Na całym szły w poprzek wązkie falbanki marszczone, jedna jedwabna, druga aksamitna dawane na przemiany. Każda falbanka miała wypuszczoną wązka główkę. Z każdego boku szły wzdłuż dwie dosyć długie klapy aksamitne. Stanik do tego gładki; na wierzchu pelerynka wązka na ramionach, przedłużona z tyłu i z przodu, przybrana stosownie falbankami. Rękawy do tego odpowiednie.

Piękny był też kostium z materji mienionej w kolorach czarnym i jasno szafirowym. Z tyłu szły trzy falbanki jedna nad drugą, objęte plisną szafirową jasną. Przód oznaczony był w taki sposób, że tworzył jakby osobną spódniczkę, przybraną szafirowemi plisami i takiemiż rozetami. Paletocik do tego wcięty, dosyć długi, miał wyłożenie szafirowe, u rękawów szły także klapy.

Trzeci kostium oliwkowy z rypsu wełnianego, miał u dołu trzy falbany, objęte czarną aksamitką. Paletocik w szczególnym kształcie, tworzył z przodu jakby szerokie końce od mantyli, ścięte czworokrotnie; po bokach nie było nic, z tyłu zaś spadały cztery wielkie fałdy, objęte równie jak przody, plisną aksamitną czarną.

Otaczała go w stanie szarfa aksamitna, z wielką w tyle kokardą. Rękawy otwarte u ręki, przybrane były aksamitem.

Z okrywek uważaliśmy jeszcze paletot aksamitny, dosyć długi zapinany do boku; przody zaokrąglone, mocno były podcięte tył znacznie przedłużony wpadający do stanu, przybrany wielką kokardą *gros grains*, i koroneczką do koła. Rękawy dosyć szerokie, objęte plisną *gros grains* równie jak i cały paletocik.

Do terazniejszych kostiumów i sukien przyjęta wązka krenolna, naciągnięta ledwie kilkoma stalkami. Dodaje się do niej osobna turniura. Do sukien strojnych powłóczystych idzie na krinolinę długą spódnica z krochmalnego muszlinu, naszyta wolantami zwłaszcza w tyle. Takich spódnic gotowych można dostać w magazynie panien Kuhnke.

Śliczne ubiorki na głowę i czepeczki w ogólności wysoko podniesione są nad czołem, przybrane po większej części różami w mieszanych kolorach. Najmłodniejsze ubranie stanowi róża różowa obok morelowej, lub fijołkowa obok ognistej.

Kolor morelowy przyjęty w tym roku tak na strojne suknie, jak niemniej do ubrania kapeluszy i czepeczków.

Zwrócił też uwagę naszą śliczny kapturek czarny kaszmirowy, z pelerynką i długimi końcami. Nad czołem szła rusza kaszmirowa, przybrana fantastyczną kokardą, końce owijały się w koło szyi. Tenże kapturek zdjęty z głowy i ułożony w inny sposób, tworzył bardzo ładną pelerynkę z kapturem.

W kołnierzykach tegorocznych ważne też zaszły zmiany. Do najmłodniejszych należą fryzy Hiszpańskie, szerokie blisko na pół ćwierci łokcia, muszlinowe objęte walansienką zwięzające się coraz bardziej zachodząc ku przodowi. Do sukien cokolwiek otwartych, fryza idzie wraz z wykrojem, i kończy się w połowie stanika, spięta broszą albo kokardą. Odpowiednie falbanki podszywają się pod rękawem.

Inne znów kołnierzyki zwane *Cols Patti*, mają formę małej chusteczki muszlinowej, przepiętej na krzyż broszą. Z tyłu zachodzi na szyję garnirunek. W koło idzie namarszczona walansienka.

Inne kołnierze zwane Marie Stuart składają się z fryzki i wychodzącego z pod niej dosyć dużego kołnierzyka nagarnirowanego walansienką, spiętego na kokardę.

Niektóre znów mają formę zastosowaną do kwadratowego wykroju sukni.

W ogólności wielka w tych kołnierzykach panuje rozmaitość. Zalecamy je szczególnie do teatru.

Krawatki muszlinowe (*cols cravattes*) z wyrobionymi starannie końcami ciąglej używają wziętości.

Dalszy ciąg objaśnień dodatku arkusowego.

Brzeg górny szyfonierki w zęby, lamuje się plecionką złożoną we dwoje; prócz niej idzie jeszcze rusza z plecionki, ufałdowanej przy dolnym brzegu.

Dół szyfonierki ozdabia się także ruszą, na którą składa się dwie do sześciu fałdek, żeby wzmocnić na niej przyszytą następnie kokardę. Listwy pokrywające zeszyte zewnętrznych ścianek, robią się z popielatego, w zęby wyciętego sukna, 2 cent. szerokiego, ozdobionego przez środek paskiem czarnego aksamitu, który podwójne dzierganie przytwierdza; z jednej strony daje się go z ciemnego, z drugiej z jasno-zielonego kordonku. W środku idą ciemno i jasno-zielone węzłki kordonku. Drewniane foremki czarnym aksamitem obciążone, dają się w zagłębieniach szyfonierki. Kółko kartonu 3 cent. duże, powleczone perkalem, pokrywa rogi zewnętrznych pięciu części, ostro zakończonych. Wieczko kartonowe, obciążone perkalem na obie strony, przykrawa się podług fig. 48. Oblamowane plecionką, i oszyte w środku przełałowaną ruszą, przyczepia się do tylnej ścianki, kilkoma ściegami, i służy do zamykania. Dwa kółka mosiężne dane do zawieszania, a trzecie na środku wieczka do odmykania, dopełniają całości.

N. 29. Chusteczkowa szmizetka.

Krój na dodatku N. XIV Fig. 42.

Szmizetka ta z tiulu lub tarlatanu bez szwu i obrębu, pod wycięte podłużnie staniki, krzyżuje się końcami na piersiach. Garnirunek modelu składa się z listewek materiału, których ilość i szerokość odpowiada głębokości wykroju stanika. Każda pliska może być przytwierdzona kolorową wążutką wstawką albo aksamitką. Mały zachód roboty i taniość materiału, dozwala często zmieniać, tego rodzaju szmizetkę.

N. 30—32. Bluzkowa szmizetka i rękawek.

Krój na dodatku N. XIII fig. 38—41.

Przy krajaniu podług podanej formy przodów białej muslinowej szmizetki, trzeba przy każdym z osobna, przypuścić z przodu tyle muslinu, ile wymaga 6 zakładów zdobiących obie połowy. Kołnierzyk z wykładami, jak również na 3 guziki spinany mankiet, przyrządzają się z podwójnie wziętego muslinu. Z brzegu daje się wstawka i szlaczek haftowany lub koroneczka. Rycina 32 przedstawia garnirunek w naturalnej wielkości. Po umocowaniu wszytki na materiale, wycina się go pod spodem. Przyszyty drobnymi marszczkami do mankieta rękawek, wymaga prostego 45 cent. długiego, 41 szerokiego kawałka muslinu. Składa go się w podłuż na połowę i ścina od środka składu tyle, żeby przy ręce 15 cent. podwójnej szerokości wynosił.

N. 33. Strojny czepeczek dla starszej osoby.

Z magazynu p. Kieffer w Paryżu na bulwarze Włoskim N. 27.

Czepeczek ten formą siatki z tiulu w gruby rzucik, ma wązki karczek, pokryty płaską koronkową ruszą, między którą dane są aksamitne kokardki, przy gałązce aster z boku. Wolno spadające barby formuje koronka i wstawka przewleczone aksamitką.

N. 34. Ubranie dziewczynki od 10—14 lat.

Krój staniczka na dodatku N. XII. Fig. 34—37.

Model przedstawiony w dwóch odmiennych materiałach podaje rodzaj sukienki, której przybranie daje

się z załamywanej falbanki, albo z materiału w pasy, jako obłożenie. Spódnica wymaga zawsze kliniastych brytów po bokach przedniego, tylne pozostają proste. Na tunikę bierze się najczęściej materiał prosto, przednie brzegi można trochę zaokrąglić. Zęby powstają przez podpięcie z boków i w tyle. Garnirunek stanika wymaga zapięcia z tyłu na guziki, żeby wykład przodu, dobrze się układał. Epolecik daje się również z załamywanej falbanki, ułożonej na papierze wykrojonym podług fig. 37. Na bluzkę dopełniającą ubranie, nie podajemy osobnej formy i opisu, odsyłamy tylko do poprzednich numerów Tyg. Mód, gdzie niejednokrotnie była zamieszczona.

N. 35. Ubranie chłopczyka od 11 — 13 lat.

Krój na dodatku N. V. fig. 14 — 19.

Rycina 35 przedstawia ubranie z ciemno szafirowego sukna, którego kaftanik zapinany z przodu na guzik ma osobną formę pod fig. 14—17. Dokładność form, nieprzedstawia żadnej trudności w przyrządzeniu ubrania, dodajemy jednak że plecy aż do rozcięcia zszywają się z sobą, brzegi zostające, u dołu dobrze zachodząc na siebie przesywają się poprzecznie. Przody i rękawy wymagają czarnej wełnianej podszewki. Czarna, jedwabna plecionka, 1 cent. szeroka obstembnowana, i złote guziki zapinające także kamizelkę, stanowią ubranie kaftanika.

WIADOMOŚCI GOSPODARSKIE.

Sposób wędzenia szynki.

Nie jest on oryginalnym — a nawet spotkać się z nim można w „Rolniku polskim,” — że jednak nie wszystkie czytelniczki Tygodnika Mód mogą mieć to dzieło pod ręką, przepis ten stwierdziwszy doświadczeniem podaję do wiadomości.

Sadzy błyszczących funtów 3 (sadze muszą być czyste bez żuzli, z kominów gdzie się torf lub węgiel pali zupełnie niezdatne) do sześciu garncey miękkiej wody, wrzucić i gotować aż się do połowy płyn wygotuje, odstawić i dać się ustać, zlać starannie jakby kawę z fusów, przez płótno, a nawet nabrawszy pewnego doświadczenia nie potrzeba ważyć sadzy, nasypawszy ich aby pół garnka zajmowały, a po ugotowaniu płyn powinien mieć kolor dobrych czystych fusów, następnie osolić do smaku przesolonego rosołu, i w wystudzonym płynie zupełnie zanurzyć mięso, stosując się ściśle do tej konieczności, żeby mięso na parę cali przykryte było. Gdyby wypływało na wierzch krzyżakiem z kawałków drewna przycisnąć, aby jednak pod to drewno odwar mógł podchodzić. Naczynie na ten cel przeznaczone musi być wysokie a wązkie, najstosowniej użyć to, w którym mięso nasolone było. Przysposobić tak się mające szynki w pierw zwykłym sposobem w soli i korzeniach uprawione być muszą, przed wędzeniem, tem, tak samo jak przy zwykłym wędzeniu w kominach; szynki na świeżem powietrzu osuszone kilkanaście godzin być winny. Czas przeznacza się podług wielkości sztuk do wędzenia przeznaczonych, szynka ważąca funtów 24, zanurzona bywa na tyle godzin, stosunkowo mniej funtów ważąca, krótszy przeciąg czasu do zanurzenia wymaga, kiełbasa wędzi się w przeciągu godziny, także salcesony. Słonina nie może być zwijana do zanurzenia ale najlepiej ją podzielić na części. Po wyjęciu konieczne powtórnie na świeżem powietrzu winny być wysuszone, i starannie przypilnowane, aby nie zwilżały, tak uwędzone mięswo, równa się najdelikatniejszym zagranicznym wędlinom, a nie ustępuje w trwałości w kominie wędzonym.

Kiszki wątrobiane.

Cała wątroba surowa wieprzowa skrobie się nożem odrzucając starannie żyły, — do naczynia w którym się mają zaprawiać, — przetrzeć ją przez durszlak — utrzeć i zmieszać bułek czerstwych 6, kwaterkę czystego tłuszczu, majeranku, pieprzu, soli, cebul sześć oparzonych i utartych, słoniny świeżej także nożem

lub na tarce tartej funt, kto lubi może ją dać bardzo drobno w kostkę pokrajaną, wymieszać należyście nalewać kiszki bardzo wolno tylko do połowy, zważając że bułka przybywając w gotowaniu, mogłaby rozsadzić kiszki. Gotując wolno probuje się widelcem jak zwykle czy z nich rosół czy też farba ciecze, w pierwszym wypadku są gotowe do użycia. Kiszki te używają się tylko na zimno — Kto ma trufle może ich użyć, bo smakiem zupełnie przypominają pasztety.

Stanisława O.

— *Lodownia* bardzo dogodna, da się małym kosztem i zachodem urządzić w sposób następujący: Miejsce na nią wybiera się na północ wystawione, albo pod gęstymi drzewami liściastymi i o ile można tak, aby ją od zachodu osłaniały jakie budynki lub inne jakie naturalne osłony, gdzie tego nie ma, tam trzeba sztuczną jaką osłonę obmyśleć. Grunt pod lodownią powinien być przepuszczalny, albo trzeba urządzić dół w ziemi jakby rózstem pokryty, do odpływu wody; można też gęsto podrenować. Zresztą jakakolwiek pochyłość gruntu, odciekanie wody z topniejącego (od spodu) lodu, ułatwia. Lodownia sama zakłada się tak: Na wierzchu gruntu tworzy się z kawałków lodu okrąg wielkości żądanej, w którego środek sypie się lód umyślnie pokruszony, ubijany, zlewany wodą — która marznąca, nadaje pokładowi spoistość. Gdy jedna warstwa jest już urządzona zakłada się na nią druga w podobny sposób; potem następną — a coraz węższą — tak, że góra lodowa niby stóg wygląda. Oblewa się ją jeszcze wodą z wierzchu, żeby się wyrównała; okrywa na szerokość dłoni czystą słomą, która polewana także, utworzy skorupę. Przy odwilży, nakrywa się ta lodownia znów słomą na 9 do 15 cali grubo — i już koniec robocie. Tylko nie trzeba tego ostatniego okrycia do zagrzania się wewnątrz własną jego wilgocią dopuścić. Doświadczenie nauczyło, że taka kupa lodu nigdy nie topnieje od góry, tylko od dołu i od strony zachodniej; to też lepiej jeśli raczej na wysokość niż na szerokość lodownia rośnie. Dobrze też jest od spodu lód pokryć na wysokość paru stóp a na szerokość dłoni, torfem ubitym.

Korespondencja.

Odpowiadając na liczne zapytania w przedmiocie konkursu na powieść, ogłoszonego przez Redakcję Przyjaciela Dzieci, mam zaszczyt powtórnie interesowanych zawiadomić, że stosownie do decyzji Sądu konkursowego, przyjmowania rękopismów, będzie miało wyłącznie miejsce do ostatniego dnia miesiąca Grudnia r. b. że praca na konkurs nadesłana, powinna być nie tłumaczona ale oryginalnie napisana, i że nagroda za powieść dobrą dla młodzieży około lat 14 liczącej, wyznaczoną została w ilości r. s. 30 a dla drugiej r. s. 15 bez względu na ich obszerność. Z pierwszym zaś Stycznia r. p. Sąd konkursowy rozpocznie natychmiast odczytanie nadesłanych rękopismów, po ukończeniu którego, zapadła decyzja ogłoszoną zostanie przez pisma publiczne.

J. K. Gregorowicz.

Redaktor Przyjaciela Dzieci.

— Księgarnia Gebethnera i Wolffa otrzymała ze Lwowa:

Przegląd

NAJNOWSZYCH PODRÓŻY I ODKRYĆ

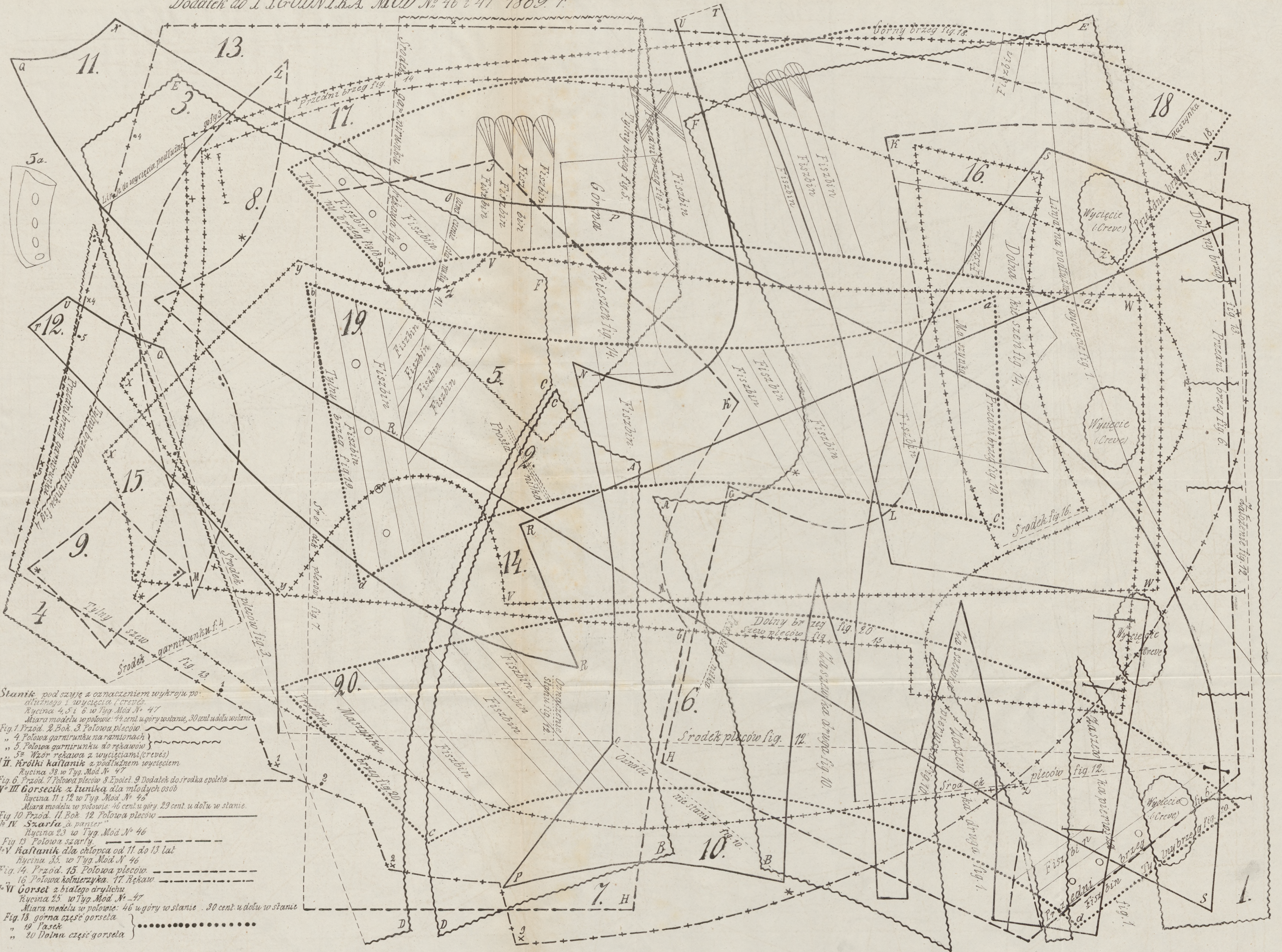
Geograficznych

podług oryginalnych dzieł i sprawozdań tegoczesnych podróżników

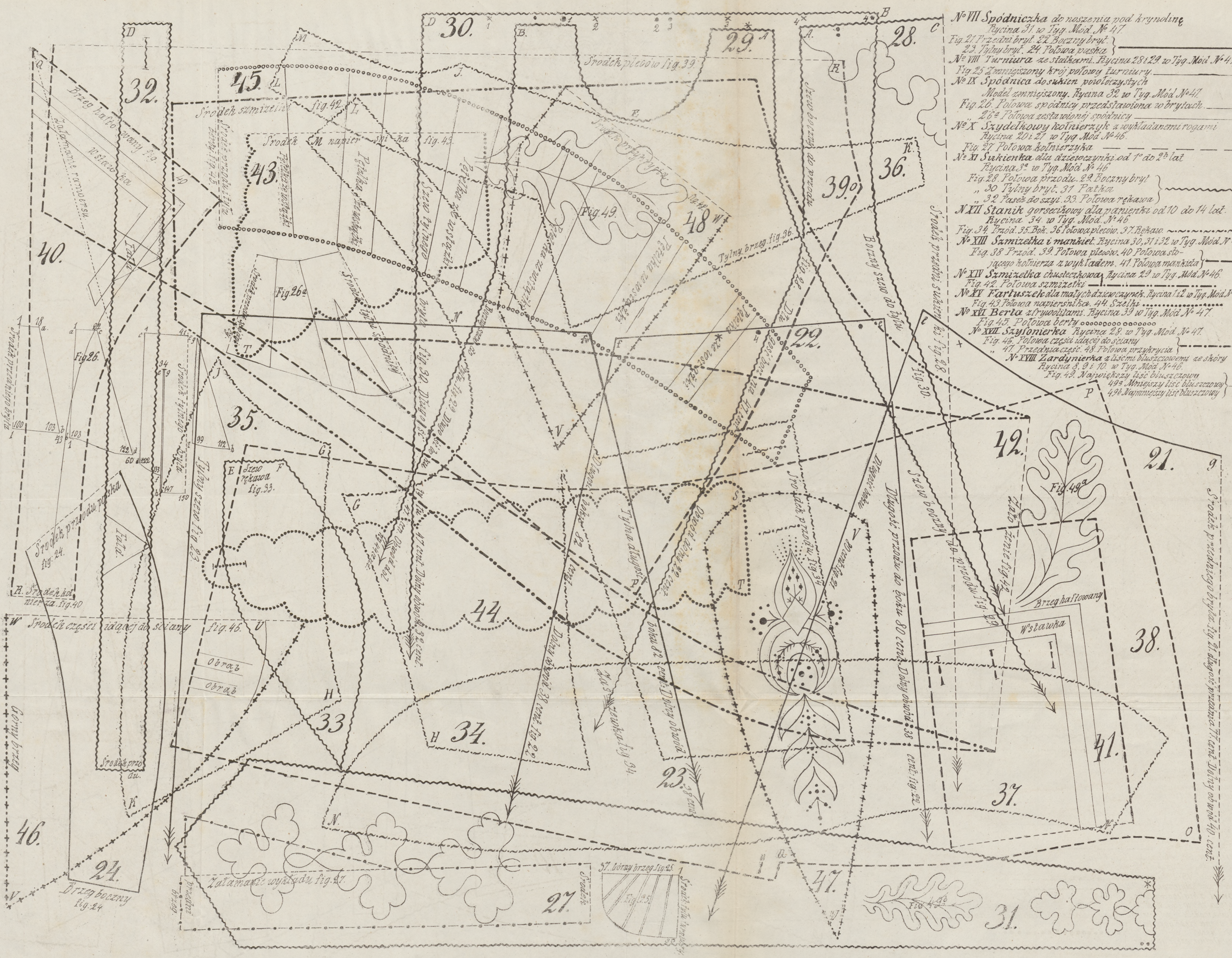
ulożył

Lucjan Tatomir.

Cena Rs. 1 kop. 35.



- N I Stanik** pod szyję z oznaczeniem wykroju po
 dłużnego i wycięcia (Creve).
 Rycina 4, 5 i 6 w Tyg. Mod N^o 47
 Miara modelu w połowie: 44 cent. u góry w stanie, 30 cent. u dołu w stanie
- Fig. 1.** Prząd. **2.** Bok. **3.** Połowa pleców
4. Połowa garnirunku na ramionach
5. Połowa garnirunku do rękawów
5^a Wzór rękawa z wycięciami (Creve)
- N II Krótki kaştanik** z podłużnym wycięciem
 Rycina 38 w Tyg. Mod N^o 47
Fig. 6. Prząd. **7.** Połowa pleców **8.** Epolet. **9.** Dodatek do środka epolety
- N III Gorset z tuniką** dla młodych osób
 Rycina 11 i 12 w Tyg. Mod N^o 46
 Miara modelu w połowie: 46 cent. u góry, 29 cent. u dołu w stanie
- Fig. 10.** Prząd. **11.** Bok. **12.** Połowa pleców
- N IV Szarsa** „à panter”
 Rycina 23 w Tyg. Mod N^o 46
Fig. 13. Połowa szarfy
- N V Kaştanik** dla chłopca od 11 do 13 lat
 Rycina 25 w Tyg. Mod N^o 46
Fig. 14. Prząd. **15.** Połowa pleców
- N VI Gorset z białego drylichu**
 Rycina 25 w Tyg. Mod N^o 47
 Miara modelu w połowie: 46 u góry w stanie, 30 cent. u dołu w stanie
- Fig. 18.** górna część gorseta
19. Pasek
20. Dolna część gorseta



- N^o VII Spódniczka do noszenia pod krynowinę
Rycina 31 w Tyg. Mod. N^o 47
- Fig. 21 Przedni bryt. 22 Boczny bryt.
- 23 Tylny bryt. 24 Połowa paska
- N^o VIII Turniura ze stalkami. Rycina 28 i 29 w Tyg. Mod. N^o 47
- Fig. 25 Zmniejszony kraj połowy turniury
- N^o IX Spódnica do sukien połączonej
- Model zmniejszony. Rycina 32 w Tyg. Mod. N^o 47
- Fig. 26 Połowa spódnicy przedstawiona w brytach
- 26^a Połowa zestawionej spódnicy
- N^o X Sztydelkowy kołnierzyk z wykładanemi rogami
- Rycina 20 i 27 w Tyg. Mod. N^o 46
- Fig. 27 Połowa kołnierzyka
- N^o XI Sukienka dla dziewczynki od 1^o do 2^o lat
- Rycina 3^a w Tyg. Mod. N^o 46
- Fig. 28 Połowa przodu. 29 Boczny bryt.
- 30 Tylny bryt. 31 Paska
- 32 Pasek do szyi. 33 Połowa rękawa
- N^o XII Stanik gorsczkowy dla pamiętki od 10 do 14 lat.
- Rycina 34 w Tyg. Mod. N^o 46
- Fig. 34 Prząd. 35 Bok. 36 Połowa pleców. 37 Rękawa
- N^o XIII Samizetka i markiet. Rycina 30, 31 i 32 w Tyg. Mod. N^o 46
- Fig. 38 Prząd. 39 Połowa pleców. 40 Połowa stojącego kołnierza z wykładem. 41 Połowa markietki
- N^o XIV Samizetka chusteczkowa Rycina 29 w Tyg. Mod. N^o 46
- Fig. 42 Połowa samizetki
- N^o XV Fartuszek dla małego dziewczynki. Rycina 1 i 2 w Tyg. Mod. N^o 47
- Fig. 43 Połowa fartusznika. 44 Szelki
- N^o XVI Berta z trykolitami. Rycina 39 w Tyg. Mod. N^o 47
- Fig. 45 Połowa berty
- N^o XVII Sztymerka Rycina 28 w Tyg. Mod. N^o 47
- Fig. 46 Połowa części idącej do sznury
- 47 Przednia część. 48 Połowa przybrycia
- N^o XVIII Zardynierka z listkami bluszczowemi ze skóry
- Rycina 8, 9 i 10 w Tyg. Mod. N^o 46
- Fig. 49 Największy liść bluszczowy
- 49^a Mniejszy liść bluszczowy
- 49^b Najmniejszy liść bluszczowy

